



AKADEMIA ORŁÓW

prawdziwe historie, które Cię uskrzydlą

Iwona Kamieńska



*Pomagam z SURSUM CORDA.
Ty też możesz!
Aniela Kusyńska*

Pomysł na tę książkę narodził się pod dachem Stowarzyszenia Sursum Corda i słowami „Sursum Corda” (z łac. „w górę serca”) jest inspirowany. W nazwie stowarzyszenia zawiera się jednocześnie nasza misja: **dać nadzieję na to, że będzie dobrze ludziom, którzy z różnych przyczyn muszą iść przez życie drogą przez ciemnie.** Stowarzyszenie ma swoją siedzibę w Nowym Sączu i działa od 2000 roku. Powstało z inicjatywy grupy osób, które osobistą przygodę z wolontariatem postanowiły kontynuować przez całe życie i stworzyć w rodzinnym mieście profesjonalną „kuźnię” talentów do pomagania innym. Po kilku latach wokół Stowarzyszenia Sursum Corda wyrosła „armia” licząca co roku setki wolontariuszy, a w centrum dowodzenia organizacją powstały komórki wyspecjalizowane w organizowaniu różnych form pomocy: dla dzieci z ubogich rodzin, dla chorych i niepełnosprawnych, dla osób zdrowych poszkodowanych wskutek różnych życiowych dramatów, czy opuszczających zakłady karne.

Jesteśmy organizacją pozarządową, apolityczną, działającą na zasadzie „non profit”. Od 2004 roku posiadamy status organizacji pożytku publicznego. Ciebie także zapraszamy do naszej drużyny. Choć zawsze trudno prosić o pomoc, to czynimy to, z myślą o naszych podopiecznych. Jeśli chciałbyś wspólnie z nami zmieniać świat na lepsze, możesz to robić! Z wdzięcznością przyjmujemy: Twój wolny czas, ekspercką poradę, rzecz lub usługę od Twojej Firmy. Każdy **1 %** inwestujemy w mądrą pomoc. Nasz nr **KRS** to: **00000 20 382**. Znajdziesz nas w internecie, pod adresem: **www.sc.org.pl** lub na Facebooku.
POMOC MA MOC!

AKADEMIA ORŁÓW

prawdziwe historie,
które Cię uskrzydlą

Iwona Kamieńska

© Stowarzyszenie Sursum Corda, 2015

Opracowanie graficzne i skład:

Agata Wajer-Gądecka
APP Pole znaku

Zdjęcia:

Filip Kałużny – www.foto-wspomnienia.pl
arch. domowe Woźniakowskich (str. 44)
arch. Hedwigów (s. 59, 62),
arch. Staroniów (s. 77),
arch. Michała Bałdygi (s. 91),
arch. Kasi Rogowiec (s. 145-152)

Stowarzyszenie Sursum Corda

ul. Lwowska 11
33-300 Nowy Sącz

tel. 18 540 40 40; 18 441 19 94

e-mail: biuro@sc.org.pl

www.sc.org.pl

www.facebook.com/Stowarzyszenie.Sursum.Corda

Publikacja dofinansowana ze środków
Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych
Książka bezpłatna, nieprzeznaczona do sprzedaży



SPIS TREŚCI

WSTĘP	005
01. Ocalona przez Anioły Monika Kuszyńska	009
02. Moje życie nie jest tylko moje Stanisław Kmiecik	017
03. Roztańczyć codzienność Iwona Gołębska	025
04. „Renata” – znaczy urodzona na nowo Renata Kałuża	033
05. Anioł wśród Orłów Dominika, Jan, Hubert, Piotr i Iwo Woźniakowscy	041
06. Krok po kroku w stronę marzeń Angelika Chrapkiewicz-Gądek	051
07. W podróży z życia do życia Iga, Julka, Dorota Hedwig	059
08. Uśmiech ma kształt Rogalika Artur Rogalski	067
09. Córka Smoczycy Gaja Staroń	075
10. Krótki kurs sztuki latania tylko dla Orłów Michał Bałdyga	085
11. Rycerz Małgosi i Królowej Śnieżki Jarosław Rola	095
12. O człowieku, któremu kłaniają się góry Andrzej Łukasik	103
13. Facet na medal Zbigniew Wyganowski	111
14. Anioł z Piekielnika Anna Krupa	119
15. Orły, które dają mi skrzydła Magdalena Kotlarz i Artur Kamieński	127
16. Szczęście ciemności się nie boi Andrzej Gózdź	137
17. Olimpia - najcenniejsze złotko Kasi Kasia Rogowiec	145

WSTĘP

Skrzydła
wyrastają z myślenia

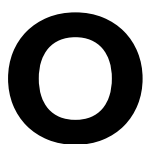
Skrzydła wyrastają z myślenia

„Orzeł” w tytule książki wziął się z przypowieści jezuity Antoniego de Mello, która rozpoczyna się od tego, że pewien człowiek znalazł jajko orła, zabrał je i włożył do kurzego gniazda w zagrodzie. Wyobraź sobie, że jesteś takim właśnie małym orlątkiem. Przychodzisz na świat w kurniku. Dorastasz wraz ze stadem kurcząt myśląc, że jesteś podwórkowym kogutem. Piejesz, gdakasz, potrafisz nawet trzepotać skrzydłami i przefrunąć kilka metrów w powietrzu. Mijają lata. Pewnego dnia widzisz wysoko nad sobą wspaniałego ptaka przemierzającego majestatycznie przestrzeń. Patrzysz oszołomiony.



Co to jest? – pytasz jedną z podwórkowych kur.

Orzeł, król ptaków – odpowiada kura. – Ale nie porównuj się do niego. Ty i ja jesteśmy inni niż on – dodaje.



Orzeł z przypowieści posłuchał kury. Więcej nie wracał myślą do zjawiskowego króla przestworzy. Jego dni dopełniły się w zagrodzie. Do końca myślał, że jest kogutem. Ty nigdy nie słuchaj kogoś, kto podpowiada, że powinieneś zrezygnować z marzeń, tylko dlatego, że skrzydła za słabe, albo w ogóle ich brak... Pamiętaj, że skrzydła „wyrastają” z myślenia.

Ludzie-Orły, którzy przekonali się o tym dokonują rzeczy niezwykłych, odnajdują szczęście i potrafią dzielić się szczęściem z innymi.

Ale są też tacy, którzy nie wierzą, że ich „skrzydła” potrafią zanieść ich tam, gdzie spełniają się marzenia, więc bywa, że nawet nie chcą marzyć. Zamiast dzielić się

szczęściem, dzielą się zwątpieniem, niespełnieniem, beznadzieją. Nie mają pojęcia, że ich świat wcale nie powinien kończyć się na granicy przydomowego podwórka.

W tej małej książeczce zebraliśmy historie ludzi, którzy mieli prawo sięgnąć dna rozpacz i tamże pozostać, a zamiast tego poszybowali wysoko, wysoko...

Przyszło im mierzyć się ze śmiertelną chorobą albo z niepełnosprawnością. Choć potyczka wydaje się być nierówna, stanęli do niej tak pięknie, że określenie „niepełnosprawni” zupełnie do nich nie pasuje.

Jeśli jesteś zdrow, masz sprawne ręce, nogi, widzisz, słyszysz i narzekasz, że jest Ci w życiu źle – ta książka jest dla Ciebie. Czytając przekonasz się, że Twoje powody do narzekania wypadają blado i zaczniesz rozglądać się w swojej codzienności za powodami do małych szczęść, które są tuż obok.

Jeśli walczysz o zdrowie lub o życie – ta książka jest dla Ciebie. Czytając dostaniesz solidną dawkę mocy od innych wojowników.

Jeśli jesteś Orłem, który wie, że jest Orłem – ta książka jest dla Ciebie. Czytając uśmiechniesz się na myśl, że jest Was wystarczająco dużo, aby po kawałku zmieniać świat. ●

01.

**MONIKA
KUSZYŃSKA**

Ocalona
przez anioły





Ocalona przez anioły

Gdyby w dniu żółtych tulipanów Monika popatrzyła w lustro - zobaczyłaby ofiarę wypadku. Wspomina zresztą, że wołała wtedy trzymać się z daleka od luster. Gdy Kuba na nią patrzył – widział piękną dziewczynę. Obydwoje bardzo dobrze pamiętają mroźny dzień, gdy on „uzbrojony” w tulipany, z tremą mocniejszą niż przed koncertem, przyjechał do Moniki, aby zobaczyć się z nią po raz pierwszy po 28 maja 2006 roku, po raz pierwszy od wypadku.

O tym majowym dniu ona chciałaby nie pamiętać. O deszczu, pisku opon na mokrym asfalcie, odgłosach rozcinania blachy rozbitego auta, o bólu. Wszystko jednak zostało w pamięci: ból, pierwsze dotknięcie nóg, które pozbawione czucia jakby zniknęły z mapy ciała, światła sali operacyjnej. Lekarze mogli spać w całość uszkodzony kręgosłup, ale poranionej wiązki nerwów, która biegnie wewnątrz kręgosłupa – czyli rdzenia kręgowego – naprawić nie potrafili.

Młoda piosenkarka w wyniku wypadku straciła władzę w nogach, a nieco później straciła też wiarę w siebie i w to, że będzie mogła realizować swoją pasję: śpiewanie. Serdeczni ludzie przywrócili jej radość życia. Tulipany Kuby też.

“ Drzwi otworzyła mi piękna dziewczyna – wspomina pierwsze powypadkowe spotkanie on.

A ja czułam się taka mało atrakcyjna. W dresie, nieumalowana. Zupełnie nie potrafiłam wyobrazić sobie, że mogę się komuś w tym stanie podobać – uśmiecha się ona.

Dzięki Kubie przekonała się, że aby poczuć się piękną, nie trzeba stroić się w obcisłe spodnie i szpilki. Nie trzeba być posagową dziewczyną z okładek kolorowych pism.

“ Dziś wiem, jak to działa: im bardziej ja siebie akceptuję, tym więcej we mnie pewności siebie. A im bardziej jestem pewna siebie, tym bardziej się podoba – tłumaczy Monika.

Zaczęli z Kubą od przyjaźni, w której z czasem robiło się coraz cieplej.

Przystojny saksofonista, z którym Monika знаła się jeszcze z czasów współtworzenia zespołu Varius Manx, podkreśla dobitnie, że pokochał i poślubił nie tylko ładną dziewczynę. - *Ona jest mądrym człowiekiem. Mam żonę mądrzejszą ode mnie. Jest dla mnie inspiracją* - mówi.

Monika nie pozostaje dłużna: przyznaje, że Kuba odmienił jej życie.

Dostała od niego, prócz przyjaźni, miłości, troski, także wszystko, co ułatwiło powrót do muzyki. Stworzył w ich wspólnym domu małe studio nagrań, powołał do życia zespół, z którym mogła znów pomyśleć o śpiewaniu, komponuje muzykę do jej piosenek i wreszcie – wrócił z nią na scenę.

Rozkochała w sobie dwóch panów Raczyńskich – syna i ojca. Pan Krzysztof, tato Kuby, przez wiele lat kierował firmą produkującą sztuczne naczynia krwionośne. Zaawansowane technologie wykorzystywane do ratowania zdrowia i życia, to jego żywioł. Dziś główkuje jak to zrobić, aby postawić synową na nogi.

Monika Kuszyńska, po wielu latach patrzenia na świat z poziomu wózka inwalidzkiego, nie straciła nadziei, że kiedyś jeszcze pójdzie na spacer na własnych nogach, ale – jak mówi - wcale nie jest to dla niej najważniejsze. Nie przerywa rehabilitacji, ale nie skupia się wyłącznie na celu: odzyskać sprawność.



Nawet gdyby to naturalne w mojej sytuacji marzenie miało się nie spełnić, jestem szczęśliwa i żyję pełnią życia – uśmiecha się.

Aby dojść do tej myśli, musiała wcześniej przebrnąć przez góry rozpacz. Nie ukrywa, że ma za sobą dramatycznie trudny czas. Płakała, nie odbierała telefonów od znajomych, nie chciała wychodzić z domu. Dopóki nie pojawiło się olśnienie, że to, co ją spotkało, zdarzyło się w jakimś celu.



Może nie szłam w dobrą stronę? Robiłam karierę skupiona niemal wyłącznie na sobie, na tym jak wyglądam, jak śpiewam, czy uda mi się zabłysnąć. I nagle trzeba było przewartościować wszystko, zaakceptować siebie i polubić mimo bezwładnych nóg. Docenić wartość relacji z ludźmi. Dostrzec mnóstwo rzeczy i zjawisk, których przed wypadkiem nie widziałam. Na przykład ludzkie cierpienie, w którym można komuś pomóc – wylicza.





“*Straciłam sprawność, ale bardzo dużo dostałam w zamian. Nie każdy umie sięgać po to, co może dostać w zamian po takich przeżyciach, bo jest pochłonięty rozpaczą, skupiony na cierpieniu. Ja też nie od razu widziałam ile dostałam w ramach rekompensaty. Przed wypadkiem moje życie było powierzchowne, nie umiałam stwarzać bliskich relacji z ludźmi. Dziś umiem – dodaje piosenkarka.*”

Ludzie, którzy okazali się najlepszymi przyjaciółmi to jej najcenniejsze „w zamian”. Prócz Kuby jest wśród nich Marta – siostra. Przerwała studia, aby być z Moniką w najtrudniejszych chwilach i otoczyć ją opieką podczas rehabilitacji.

Jest Wojtek – dobry „czarodziej” fizjoterapii, pasjonat swojego zawodu, obdarzony ogromnym talentem przywracania ludziom nadziei. Jest Kasia – urocza, mądra żona Wojtka. Jest Beata Bednarz – piosenkarka z Bielska, dzięki której Monika odważyła

się znów zaśpiewać, przełamać obawę, że w pozycji siedzącej nie wydobydzie głosu, który miałby „koncertową” moc. Jest mąż Beaty – Mirek.

W podziękowaniu za siłę, jaką od nich dostała, Monika nagrała piosenkę „Moje anioły na ziemi”. W 2012 roku utwór znalazł się na jej pierwszej „powypadkowej”, solowej płycie „Ocaleni”. Posłuchaj. Twoje anioły też gdzieś są, tylko trzeba dać im i sobie szansę na spotkanie.

Była wokalistka Varius Manx odważyła się też na spotkanie z publicznością twarzą w twarz. Pełna wątpliwości, czy ze spotkania z kamerą wyjdzie zwycięsko, przyjęła – mimo obaw – propozycję udziału w programie „Bitwa na głosy”. Efekt był wspaniały: tysiące ludzi pospieszyło ze słowami podziwu i podziękowań.



Dostałam od ludzi solidny zastrzyk dobrej energii, potwierdzenie, że jestem potrzebna – mówi.

Chciałaby dać ludziom przechodzącym jak niegdyś ona – przez góry rozpacz – podpowiedź, jak tę rozpacz pokonać.



Najważniejsze jest to, jak niepełnosprawni sami traktują siebie. Bo często zamykają się w domach i stronią od ludzi. Mają przeświadczenie, że są nieakceptowani, niepotrzebni i dyskryminowani, a to wszystko siedzi w ich głowach – mówi.

W marcu 2015 roku Monika Kuszyńska reprezentowała Polskę podczas 60. Konkursu Piosenki Eurowizji w Wiedniu. Jej autorskiej piosenki, pod tytułem „In the Name of Love”, można było posłuchać w finale konkursu. Choć nie przyniosła Polsce zwycięstwa, dała całej Europie do przemyślenia piękną propozycję: zbudujmy most między sercami – w imię miłości. ●



02.

**STASZEK
KMIECIK**

Moje życie
nie jest tylko moje





Moje życie nie jest tylko moje

Staszek nie ma rąk, ale co tam ręce... Ma głowę. Ma talent. Ma fantazję. Ma pasję. Ma cel. Znacznie gorzej byłoby, gdyby miał ręce, a nie miał talentu, fantazji, pasji, celu. – Mam swoją własną definicję kalectwa. Kalectwo to nie jest stan braku rąk, nóg, wzroku, słuchu. To jest stan, w którym możesz coś zrobić, a nie robisz tego – mówi. – Kalectwo nie jest niemocą ciała, ale niemocą umysłu. Niemocą z wyboru. Dlatego nie przepadam za kalekami – dodaje z figlarnym uśmiechem.

Staszek (rocznik 1971) pochodzi z Kłęczan pod Nowym Sączem. Mieszka w Krakowie. Jest artystą – malarzem, szczęśliwym ojcem dla całkiem sporej gromadki dzieci. Mała Julka podpatrując tatę próbuje, jak on, czarować kredką, farbą, ołówkiem.

Są też trzy panny – prawie dorosłe już córki Moniki – damy Staszkowego serca. Traktuje je jak własne dzieci. One jego – jak ojca. Jest i syn – młody buntownik, bodaj największa troska Staszka. Czemu? Bo są chłopaki, dla których świadectwo życia ojca, który daje przykład jak być twardym, odpowiedzialnym mężczyzną, głową rodziny, to jeszcze mało. Szukają innych wzorców, fruwając po świecie szukają siebie. Miłość Staszka do Bartka nie jest sielanką, jest trudna, ale jest.

Staszek urodził się bez rąk, więc w naturalny sposób stopy zastąpiły mu dłonie. Zaczął malować zanim poszedł do podstawówki. Z rodzinnego domu wyniósł ambicję bycia samodzielnym.

“ W mojej rodzinie niemal wszyscy mężczyźni to byli mundurowi: strażacy, policjanci, maszyniści. To twardzi ludzie, więc wśród nich nie dało się nie być twardym – wspomina.

Mama też nie rozczulała się nad małym Stasiem. Ledwie odrósł od ziemi – dawała mu do zabawy guziki. Brał je w paluszki stóp, które tak wyćwiczył, że dziś potrafi nogami zrobić znacznie więcej niż niejeden dłońmi. Wystarczy spojrzeć na jego obrazy. Są wśród nich bardzo dokładne studia budynków, pełne urokliwych detali krajobrazu i akty.

Talent szybko dostrzegli znawcy. Od 1989 roku Staszek należy do Światowego Związku Artystów Malujących Ustami i Nogami z siedzibą w Księstwie Lichtenstein, gdzie przeszedł wszystkie szczeble kariery: od stypendysty do pełnoprawnego członka związku. Jego obrazy można oglądać na wystawach, na kartkach świątecznych, w kalendarzach, można przyrzeć się jak maluje podczas imprez plenerowych i spotkań z dziećmi w szkołach. Te spotkania z dziećmi i dorosłymi są jednym z najważniejszych celów Staszkowej twórczości. Niesie do nich sztukę i coś jeszcze...

Był czas, gdy Staszek malował dla samego malowania.

 *Tak było do momentu, kiedy spojrzałem na siebie, starając się przyjąć punkt widzenia osób, które mnie obserwują. Są wśród nich ludzie schorowani, nieszczęśliwi. Gdy maluję, podchodzą do mnie i mówią, że gdy patrzą na takiego jegomościa jak ja: bez rąk, malującego stopami, uśmiechniętego, któremu chce się żyć, ich własne problemy błędną – tłumaczy. – Wtedy przyszło olśnienie. Uświadomiłem sobie, że skoro oni tak myślą, to moje życie nie jest tylko moje. Nie jestem na świecie po to, aby sobie bimbać. Jest zadanie do wykonania. Trzeba przetrzeć ścieżkę w umysłach ludzi. Pokazać, że niepełnosprawność nie jest przeszkodą dla szczęścia. Stąd właśnie wziął się plan organizowania pokazów malowania. To dobra okazja, aby oswajać z innością, uczyć współlbycia. Chodzi także o to, aby uświadomić, że nad ludźmi niepełnosprawnymi nie trzeba się litować. Niepełnosprawność to przecież zwyczajność – mówi.*

Prócz malowania, Staszek Kmiecik ma jeszcze jedną pasję: jazdę samochodem. Jest świetnym kierowcą. Prowadzi auto stopami. Uwielbia podróże. Ale nie takie, w których jedynie droga jest celem samym w sobie.

 *Cóż to byłoby za życie: samochód, nawet fura pieniędzy do tego i pustka. Jazda bardzo mnie cieszy, odpoczywam jadąc, ale największą radością i inspiracją są dla mnie ci, których w podróży lub u jej celu spotykam. Uczę się od nich. Czasem i ja czegoś kogoś nauczę – uśmiecha się.*

Monikę poznał w Zakopanem, w sanatorium. Owo poznanie dokonało się dwukrotnie. Pierwszy raz, gdy obydwoje byli bardzo młodzi. Dopiero po kilku godzinach sympatycznej rozmowy, przy pożegnaniu, gdy Staszek podał Monice stopę, zdziwiona zorientowała się, że nie ma rąk. Dla niej nie miało to żadnego znaczenia. Drugi raz nawiązali kontakt kilka lat temu, gdy i on, i ona byli na życiowym zakręcie.





“ Nie w głowie mi były wtedy amory, ale jego determinacja i ujmujący sposób bycia zrobili swoje. Pewnego dnia zadzwonił, że jedzie do mnie na drugi koniec Polski. Przecież nie mogłam powiedzieć komuś, kto tyle trudu sobie zadał, że nie mam ochoty na przyjmowanie gości. Tak się zaczęło. A później Staś pojechał do Krakowa, znalazł dla nas dom i przywiózł mnie i dziewczyny na gotowe – wspomina Monika.

Gdyby reszta świata traktowała niepełnosprawność tak jak Monika, świat byłby znacznie bardziej przyjazny.

“ Przecież niepełnosprawność to nie jest nic, co człowieka negatywnie wyróżnia. Doskonale wie to na przykład nasza córka Julcia. Na niej nie robią wrażenia cztery koła wózka inwalidzkiego, nie ma dla niej znaczenia, że ktoś jest gruby, niewidomy, niesłyszący, że nie ma rąk albo nóg – tłumaczy mama Julci.

W 2013 roku Staszek zaprzyjaźnił się z małym Stasiem – chłopczykiem, który jak on – przyszedł na świat bez rąk. Jego rodzice przymierzali się do kupna protez dla synka. Gdy poznali dużego Stasia, zmienili zdanie. Już wiedzą, że nogi w połączeniu z głową,

pasją i miłością bliskich to aż nadto, aby być szczęśliwym. A czego jeszcze do szczęścia potrzeba dużemu Staszekowi?



Jestem szczęśliwy. Małe, codzienne szczęścia są dla mnie najważniejsze. To, że możemy pojechać z Moniką na koncert i posłuchać dobrej muzyki, że dzieciaki w małych, wiejskich szkółkach cieszą się, gdy do nich przyjeżdżamy, że udało nam się tak wyremontować mieszkanie, aby było dostępne dla moich przyjaciół poruszających się na wózkach inwalidzkich. Szczęście tkwi w drobiazgach – mówi Staszek.

Nie powiedział jednego, bo nie lubi się chwalić. Dopowiemy za niego: jest szczęśliwy za każdym razem, gdy uda mu się komuś pomóc. Jeździ z jednej imprezy charytatywnej na drugą. Oddaje obrazy na dobroczynne cele, nie szczędzi pieniędzy, gdy są komuś potrzebne, gdy wie, że pomaganie ma sens. ●



03.

**IWONA
GOŁĘBSKA**

Roztańczyć
codziennność





Roztańczyć codzienność

Iwona miała nigdy nie wstać z łóżka – tak prorokowali lekarze, a przynajmniej większość z nich. Miała pozostać sparaliżowana i wymagająca opieki, jak niemowlę. Dziś chodzi z pomocą Aldony. Tak nazywała swoją zgrabną laseczkę malowaną w kwiaty, która dodaje jej pewności. Kiedyś pójdzie na spacer bez Aldony. Kiedyś znów ubierze baletki. Nie uwierzyła tym, którzy mówili, że uszkodzenie rdzenia kręgowego jest nieodwracalne. Może dlatego wstała z wózka inwalidzkiego.



Miała 19 lat i pierwszą część egzaminu maturalnego za sobą. Miała też dokładnie poukładany plan na przyszłość, który zaczęła realizować jako pięcioletnia dziewczynka. Mniej więcej wtedy pojawiło się marzenie o tańcu. Uparta, dumna, każdą wolną chwilę spędzała w sali baletowej na ćwiczeniach. Pech sprawił, że zamiast do teatru tańca, trafiła do szpitala.

Zastanawialiście się kiedyś jak to jest, gdy odzyskuje się świadomość kilkanaście dni po wypadku samochodowym, przy bliskich, którzy nie potrafią ukryć łez, przy lekarzach, którzy uciekają wzrokiem zapytani, dlaczego ręce ani nogi nie są posłuszne woli? Nie można usiąść ani wstać, nie można nawet przewrócić się na drugi bok, nawet podrapać się...

Podczas wypadku Iwona Gołębska doznała urazu rdzenia kręgowego w odcinku szyjnym. Skutkiem był paraliż rąk i nóg. Mogła jedynie mrugać oczami i mówić.

“*Moją największą pasją był taniec. Radością – światła wędrujące po scenie, widok publiczności. Wyzwaniem – uczucie tremy przed występem i uczucie satysfakcji po dobrym występie. Za tym wszystkim tęsknię. Z tą utratą nie pogodziłam się do dziś – mówi.*

“*Mieć obok siebie ludzi, którzy, kiedy trzeba – ciągną cię w górę, a kiedy trzeba – sprowadzają na ziemię, to jest prawdziwe szczęście – uśmiecha się.*

Rodzice i bracia – Karol i Mateusz – ani na chwilę nie pozwolili Iwonie zwątpić w to, że powinna tylko skorygować życiowy cel: „tańczyć” zamienić na „chodzić”. Mając ich wsparcie, swoją i ich wiarę, podjęła wyzwanie.

“*Miałam też szczęście spotkać kilku znakomitych lekarzy i rehabilitantów, którzy utwierdzili mnie w myśli, że warto o siebie walczyć – mówi Iwona.*

Na pierwszej rehabilitacji poprosiła, aby posadzono ją przed lustrem na sali ćwiczeń, zabezpieczono poduszkami na wypadek, gdyby nie potrafiła utrzymać pozycji siedzącej i włączono muzykę. Chciała zostać sama. Wyobraziła sobie, że znów tańczy. Uniosła ręce. Zatańczyły. Nogi jeszcze nie mogły.

Liczone już w tysiącach godziny rehabilitacji, treningów na siłowni przyniosły efekt, którego medyczni sceptycy w ogóle nie dopuszczali, a niektórzy skłonni są zaliczać do kategorii cudu. Iwona zapracowała na ten cud. Chodzi. Jedna noga jest bardziej posłuszna, druga – mniej. Ręce posłusznie tańczą. Znów uczy się tańczyć – zaczęła od tanga. Jeździ samochodem, jeździ konno, ćwiczy jogę, ma za sobą studia, znalazła dającą radość pracę. Jej pasją i profesją jest coaching.

Opowiada ludziom, że to, co mamy najpiękniejszego, tkwi głęboko w nas i sprawia, że można popatrzyć w lustro z sympatią dla siebie. Tłumaczy, jak ważna jest siła na-





pędzająca do starań, aby z każdym dniem stawać się lepszym, uparcie spełniać marzenia i jeśli nadarzy się okazja: pomóc komuś, kto zgubił swoje. Iwona prowadzi spotkania motywacyjne – między innymi dla niepełnosprawnych dorosłych i dzieci. Przywraca im nadzieję.

“ Nikt! Nawet, a może przede wszystkim lekarze, nie mają prawa odbierać nadziei. Gdybym ja jej nie miała i gdyby brakło przy mnie ludzi, którzy mnie w niej utwierdzali, nie osiągnęłabym tego wszystkiego. Trzeba z całych sił wierzyć, że któregoś dnia będzie można wstać z wózka, odrzucić kule – przekonuje.

Są dwie opcje. Zamknąć się w domu i wycić do księżycy z bólu i rozpaczki za utraconym życiem, albo spróbować wywalczyć tyle, ile się da. Wybór był oczywisty. Zrobiłam to nie tylko dla siebie, ale i dla mojej rodziny. Minęło już tyle lat i właśnie mija kolejny dzień... Sądziś, że przestałam myśleć o wypadku? Nie. Wciąż mam w głowie te wszystkie momenty na wózku, kiedy nie czułam rąk i nóg, a moje ciało od szyi w dół było ode mnie odłączone, ale widzę gdzie jestem teraz, jak żyję, jak kocham życie. Nie umiem się poddać. Idę dalej – mówi.

W 2013 roku Iwona została twarzą modowego magazynu Fashion Planets. Jej zdjęcia pojawiły się w majowym wydaniu internetowym. Stała przed obiektywem na wysokich obcasach. Udało się! Jej cel na kolejne lata: ubrać takie szpilki, jak na sesji zdjęciowej i chodzić w nich. Samodzielnie. Bez Aldony. W 2014 roku zwyciężyła w konkursie Cosmopolitan „Mocne Strony Kobiety”. Nie było innej opcji. Szczupłutka, delikatna Iwona ma chyba same mocne strony. ●



04.

**RENATA
KAŁUŻA**

„Renata”
znaczy urodzona
na nowo





„Renata” znaczy urodzona na nowo

„Kocham swoje życie”: mówi dziewczyna na wózku inwalidzkim. Oczy jej się śmieją. Nie musiałaby tego mówić. To widać. 27 czerwca 2013 roku w Kawiarni Witkacy pod Tatrami, odbyła się projekcja filmu zaskopiańskiego filmowca Bartka Solika pod tytułem „Jestem Renata”, w którego finale padają te właśnie słowa. Tuż po nich autor dokumentu „teleportuje” widzów w Tatry. Już nie trzeba słów. W kadrze jest plener jak marzenie: ze słońcem, które delikatnie głaszcze stoki i opromienia dwoje ludzi gór wpatrzonych w szczyty ze szlaku. To Darek i Renata. On niesie ją tak, jak niesie się plecak. W ten sposób Renata wróciła w góry, choć od sześciu lat nie może chodzić. Nogi nie są do tego niezbędne. Wystarczy kochać.

Bartek Solik przez kilka miesięcy słuchał opowieści Renaty Kałuży, dziewczyny z Czarnego Dunajca, dla której jeszcze sześć lat wcześniej świat zaczynał się i kończył w górach, na ścianach wspinaczkowych, albo w podróży w stronę kolejnych gór i ścian. Jej wspomnienia i przemyślenia złożyły się w film okraszony muzyką Leszka Możdżera. Można go obejrzeć dzięki mecenasowi Tatrzańskiego Parku Narodowego. Czemu TPN? Bo Renata to tatrzańska przewodniczka.

“ Nawet w niepogodę brałam plecak, spiwór, kuchenkę gazową i zniktałam na dwa – trzy dni. Bywało, że spędzałam w Tatrach całe tygodnie, co było przyczyną zmartwień mojej mamy. Spełniłam jedno ze swoich marzeń: zrobiłam kurs przewodnicki, zostałam przewodnikiem – wspomina.

13 marca 2007 roku w skalnych ścianach Przełomu Białki wszystko się zmieniło. To był jeden z pierwszych ciepłych dni wiosny. Zima upłynęła na treningach, na sztucznych ściankach wspinaczkowych. Cudownie było znów poczuć pod palcami kamień...



“ Wypadek zdarzył się podczas ostatniego przejścia. Koleżanka, która mnie asekurowała popełniła błąd. Zabrakło węzła na końcu liny, lina wypadła z przyrządu asekuracyjnego i spadłam z wysokości siedmiu metrów – opowiada Renata.

Jak mówi – pamięta każdą sekundę. Nie straciła przytomności. Szukała rękoma nóg, nad którymi straciła władzę, upadając na ziemię. Nie mogła ich znaleźć, bo przestała je czuć. Złamany kręgosłup przeciął wiązkę nerwów w rdzeniu kręgowym łączącą mózg ze wszystkim, co od pasa w dół. Dziewczyny, które towarzyszyły Renacie we wspinaczce spanikowały. Nie wiedziały co robić. Ona wiedziała. Poprosiła o telefon i zadzwoniła do Darka, który miał akurat dyżur w zakopiańskim szpitalu. Jest lekarzem – anestezjologiem. Opowiedziała mu co się stało. Prosił, żeby nie ruszała się z miejsca.

“ Był bardzo spokojny i ogromnie pomógł mi tym spokojem. Zadzwonił po TOPR. Za kwadrans przyleciał po mnie śmigłowiec. Darek nie powiedział mi wtedy... dopiero po pewnym czasie przyznał... od początku wiedział, że złamałam kręgosłup, że to paraliż – mówi.

Pierwsze miesiące po wypadku były ogromnie trudne.

“ Czułam się bezsilna w obliczu nowej sytuacji, jednak z czasem zrozumiałam, że każdy dzień przynosi coś nowego, że jestem coraz sprawniejsza, że przede mną nowe życie, od którego nie chcę uciekać, ani się go bać, że przecież nadal jestem tą samą osobą,

która kocha życie i chce je przeżyć najlepiej i najpiękniej, jak się da. Ważne jest, aby mieć jakiś cel i dążyć do niego, nie poddawać się. Kiedy odkryłam kolarstwo, w końcu poczułam, że znalazłam w życiu „dopalacz”. Rok zajęły mi poszukiwania zajęcia, które stało się celem mojego życia. Warto było – opowiada.

Sześć lat po wypadku dzielna, młoda kobieta zbiera medal za medalem, ścigając się na rowerze napędzanym rękoma, czyli na handbike'u. Jest dumą polskiej kadry narodowej. 2013 rok przyniósł złoty i srebrny krążek w zawodach w Pucharze Świata oraz dwa srebrne w mistrzostwach świata w Kanadzie. Podczas odbywających się na przełomie sierpnia i września 2014 roku mistrzostw świata w Greenville góralka wywalczyła dwa medale. Za te sukcesy uhonorowano ją tytułem „Najlepszego sportowca niepełnosprawnego”. W maju 2015 roku z wyścigu po Puchar Europy w kolarstwie ręcznym, który odbył się w Rzeszowie Renata Kałuża wróciła z najcenniejszym trofeum.

Jej przygoda z rowerem zaczęła się od wizyty na Dolnym Śląsku u Jarka Roli – niepełnosprawnego sportowca i konstruktora handbike'ów.

 *Pojechaliśmy do niego, bo chciałam sprawdzić, jak taki rower działa. Gdy wsiałam popłakałam się. Darek też. Widząc moją radość wiedział, że już nie odpuszcę, że będzie trzeba kupić rower – śmieje się Renata.*

Szczęśliwa, oczarowana uczuciem wolności, jakie daje przesiadka z wózka inwalidzkiego na handbike'a, zaczęła znów wymykać się z domu na szlaki – wprowadzie mniej ekstremalne niż w latach „skałkowych”, ale jednak szlaki.

Ten powrót dokonał się niecały rok po wypadku.

 *Z trudem przejechałam za pierwszym razem pięć kilometrów. Wróciłam do domu zmęczona, ale zachwycona. Od tej pory jeździłam bez opamiętania, poznając wszystkie ścieżki rowerowe i dostępne mi szlaki w okolicach Zakopanego i Czarnego Dunajca, gdzie mieszkają moi rodzice – opowiada.*

Wspinaczka okazała się świetnym przygotowaniem do jazdy na handike'u – dzięki niej Renata ma silne ręce.



Po pewnym czasie treningów na rowerze w wersji górskiej, dosiadła pojazdu dla wyczynowców, który umożliwiał jazdę ze znacznie większą prędkością. Zaczęła startować w maratonach i zdobywać medale.

“Wypadek mnie nie zatrzymał, choć musiałam się nauczyć wszystkiego od nowa. Nie miałam jednak wyjścia: musiałam sobie poradzić dla siebie samej, dla Darka, dla rodziny. Oczywiście nie jest łatwo, gdy znajomi idą się wspinać, a ja wiem, że nie mogę, ale z drugiej strony – przecież mogę nurkować, jeździć na rowerze i robić mnóstwo innych rzeczy, których pewnie nawet nie spróbowałabym, gdyby nie to, co mnie spotkało – mówi góralka – rowerzystka.

Wózek nie jest dla niej przeszkodą w realizowaniu pasji podróżowania, którą dzieliła z Darkiem. Przyznaje, że obawiała się, czy da radę spać w namiocie, w śpiworze, spędzać długie godziny w samochodzie, znosząc ból.

“Dałam radę. Po naszej pierwszej po wypadku wyprawie uświadomiłam sobie, że to jest coś, co zawsze będę kochać, niezależnie od tego, czy jest mi wygodnie, czy nie – wyznaje.

W pewien szczególny sposób cieszy się także wspinaczką z ukochanym mężczyzną w roli głównej. Renata może go przecież asekurować. Odbývá się to z zastosowaniem szczególnego „patentu” na bezpieczeństwo.

“Trzeba mnie najpierw przywiązać do drzewa, żeby lina mnie nie pociągnęła w razie odpadnięcia od ściany. Dosyć dziwnie to wygląda, gdy Darek wynosi mnie na plecach, przywiązuje do drzewa, zostawia i wspina się, ale jest radość. Dużo się zmieniło, jednak wciąż robimy to, co kochamy i robimy to wciąż razem – uśmiecha się.

Renata i Darek odkryli swoje miejsce na Ziemi w słonecznej Kastylji – w Hiszpanii. To kraj – raj dla miłośników wspinaczki i kolarstwa. Darek dostał tam propozycję pracy, Renata znalazła idealne tereny do treningów, których wreszcie nie przerwie śnieżna zima. Oboje prędko zjednali sobie przyjaciół wśród miejscowych, serdecznych ludzi i zachwycili się tym, że Hiszpanie tworzą przestrzeń pozbawioną barier, zaprojektowaną nie tylko z myślą o zdrowych. Dzięki temu słowo „integracja” nabiera właściwego sensu. ●

05.

**DOMINIKA,
JAN, HUBERT,
PIOTR I IWO
WOŹNIAKOWSCY**

Anioł
wśród Orłów



Anioł wśród Orłów

Pięć lat po odejściu Dominiki, składając jak puzzle fragmenty opowieści, wspomnień, zdjęć i filmów, próbowałam poznać ją i zrozumieć. **Jest** bardzo ważną postacią w rodzinie Orłów – Woźniakowskich. Gdy składałam myśli w słowa, które miały znaleźć się w trzecim zdaniu, zorientowałam się, że drugie zdanie rozpoczęłam bez zastanowienia od słowa „**jest**”, choć przecież Dominika zmarła. „I tak ma być” – uśmiechnęłam się do liter. Poprawki nie będzie, bo jestem pewna, że to nie była pomyłka. Dominika jest.

Może tam, w lepszym świecie zdarza się czasem tak, że jakiś anioł pragnie z ciekawości przeżyć ludzkie życie. Może Bóg pozwala mu wówczas na chwilę zapomnieć kim jest, aby mógł urodzić się i umrzeć jako człowiek... Może wtedy właśnie wśród ludzi pojawiają się niezwykłości, takie jak żona Jana a mama Huberta, Piotra i Iwa?

Urodziła się w lipcu 1963 roku. Jan – w maju 1959. Jesienią 1990 wzięli ślub. Później było pięknie. Rok po ślubie urodził się Hubert, dwa lata po Hubercie – Piotr. Wciąż było pięknie. W 2002 pojawiła się niespodzianka: niepełnosprawny Iwo. Tę niespodziankę zwiastowała zaprzyjaźniona z Janem i Dominiką zakonnica – Genowefa.

„Bardzo chciałam ją zobaczyć przed narodzinami Iwa. Oczekiwałam czegoś w rodzaju błogosławieństwa dla dziecka, które wkrótce pojawi się na świecie. Gdy zostaliśmy sam na sam, na pożegnanie powiedziała: „Dominiczko, cokolwiek się stanie, przyjmij to jak prezent od Boga”. Powtórzyła te słowa dwukrotnie. Zastanawiałam się wtedy: co to miałoby oznaczać? Przecież wszystko jest w porządku. Badania wskazują, że dziecko jest zdrowe, ja świetnie się czuję... – opowiadała Dominika kilka lat później.

Wszyscy byliśmy szczęśliwi. Ja i Dominika, że rodzi się kolejne dziecko, chłopcy, że będą mieli brata. Modlili się codziennie, żeby był zdrowy. Iwo urodził się i... cisza. Czekamy, czekamy i ciągle ta piekielna cisza. Doktorzyw skupieniu coś przynim majstrując na stole,



widzę tylko ich plecy. Potem intubowanie, drgawki, słabe oznaki życia. Dominika do pokoju, ja z nią. Za chwilę przywożą Iwa w inkubatorze, ale znowu coś się pogarsza, więc go wywożą, szukają szpitala z miejscem na OIOMie (rodził się w prywatnej klinice). Dominika w nocy zostaje sama, ja z Piotrem, który czekał obok w pokoju, jedziemy do domu. Świtkiem pędzę do szpitala, gdzie mówią mi same złe rzeczy: sytuacja raczej beznadziejna, małe szanse, że Iwo z tego wyjdzie, a jeżeli wyjdzie, to życie spędzi w łóżku, bez kontaktu ze światem. Radzą, by liczyć się ze śmiercią, mimo tego, że syn podłączony do rozmaitych instrumentów, które wypełniają całą ścianę za nim – wspomina Jan.

Iwo rozpoczął życie od śpiączki. Tematem pierwszej lekcji, jaką dał rodzicom i braciom, była cierpliwość i pokora.



Nie wiedzieliśmy czy przeżyje. Nie wiedziałam też czy podołam. Czy będę umiała być mamą niepełnosprawnego dziecka. Płakałam. W pewnym momencie dotarło do mnie, że płaczę nad sobą, a gdzieś tam w szpitalu leży umierające dziecko. Przecież muszę zebrać dla niego siły. Poszłam do niego. Mąż uprzedzał mnie, że widok Iwa podłączonego do aparatury, która trzyma go przy życiu, będzie dramatyczny, a ja zobaczyłam po prostu śliczne, śpiące dziecko. Dziecko Pana Boga, które może będzie

mi dane wychowywać. Przypomniałam sobie wtedy słowa Genowefki... – zwierzała się później Dominika.

Wbrew rokowaniom lekarzy, Jan i Dominika zostali jednak na dobre rodzicami trzeciego dziecka, które przeżyło i zaczęło rosnąć. Trzeba było przewartościować i przeorganizować codzienność, dostosować ją do potrzeb niepełnosprawnego chłopca, który z powodu błędu genetycznego – strukturalnej anomalii chromosomowej – nie mówi i jest inny.

Pojawienie się Iwa było tylko subtelną wprawką przed tym, co miało nastąpić później. Gdy syn – niespodzianka miał cztery lata, u Dominiki zdiagnozowano chorobę nowotworową. Początkowo lekarze byli dobrej myśli. Poddana się operacji oraz chemio- i radioterapii. Powinno było wystarczyć do zwycięstwa. Nie wystarczyło. Choroba wyprzedziła ją o krok, tworząc przerzuty.

W 2008 roku do wyścigu o życie stanął 16-letni wówczas Hubert. Zaczęło się od chronicznego zmęczenia. Później pojawiły się wysokie gorączki. Dominika była w tym czasie po piątej operacji. Nie wstawiała jeszcze z łóżka, gdy jej najstarszy syn poszedł na badanie krwi, po którym niemal natychmiast trafił na oddział onkologii, gdzie postawiono diagnozę: ostra białaczka limfoblastyczna.

 *Pomyślałam wtedy: Panie Boże, co jeszcze? Ale może Bogu nie chodzi o happy-edy? Tylu ludzi modli się o cuda, każdy chciałby, żeby skończyło się jak w bajce, prawda? Idziemy do sanktuarium i nagle zdrowie, szczęście, wszystko nowe. Niektórzy podchodzą do wiary w ten sposób, że jak się będziemy modlić, to Bóg wysłucha i będzie wszystko cudownie. A mi się wydaje, że Bóg przede wszystkim potrzebuje ludzi, którzy świadczą swoim życiem o tym, że On jest. Jeśli wszystko dobrze się dzieje, ciężko jest świadczyć. W ogóle się o tym nie myśli – zastanawiała się Dominika w rozmowie z Szymonem Hołownią. Było to niedługo przed jej odejściem.*

Hubert początkowo nie zdawał sobie sprawy z powagi swojej sytuacji. Myślał, że dzień, dwa pocierpi w szpitalu i pojedzie na zaplanowany od dawna obóz narciarski. Szybko jednak przekonał się, że rak krwi to jednak nie jest katar.

 *Trochę go to oczywiście ubođło i fizycznie zwałiło z nóg, gdy zaczął być przepłukiwany godzinami via kroplówka i przez tak zwany port, który mu założyli, aby wszystkie płyny łatwiej i szybciej wchodziły w organizm. Potem była chemia, po chemii sterydy. Nastolatka, którego rówieśnicy żyją pełną parą, martwi sytuacja, że musi kolejne miesiące spędzać w szpitalu. Widać to było, gdy wychudzony i zgarbiony chodził po ciasnym i ciemnym korytarzu, z kroplówką zawieszoną na stojaku na kółkach. Wyglądał trochę jak święty Mikołaj z pastorałem – opowiada Jan.*

Gdy Hubert zachorował, Dominika dostała przyływu energii. Jakimś cudem powstała z łóża bolesti i zajęła się gotowaniem dla syna pysznych domowych posiłków. Oboje byli w tym samym czasie poddawani chemioterapii, więc dzielili się wrażeniami związanymi z reakcją na płyny, które miały pomóc zdusić chorobę.

“ Hubert okazał się bardzo odporny i fizycznie, i psychicznie. Może młodzi ludzie mają umiejętność budowania swego systemu obronnego, by świat ich zanieczyścił? Może to również kwestia wychowania? Wpajania od małego, aby za bardzo nie skupiać się na sobie? W każdym razie przeszedł przez czas choroby w miarę bezboleśnie. Potraktował ją jako bezcenne doświadczenie. Nie wytrzymała go z radości życia, a wzbogaciła. Nasza rodzinna sytuacja w tamtym czasie też, paradoksalnie, była dla niego pomocą. Wiedział, że Dominika jest śmiertelnie chora, twoje nieuleczalnie chore. Ta świadomość chyba ustawiła jego przypadek w odpowiednim miejscu – dodaje ojciec chłopców, który 30 kwietnia 2010 roku został ojcem samotnym.

Dominika nie unikała rozmów z synami o tym, co nieuniknione. Tłumaczyła, że przyjdzie taki moment, gdy trzeba będzie się pożegnać. – Nie chcę być chora, nie chcę odchodzić. Jeszcze jestem. Musimy się jakoś trzymać. Trzeba nauczyć się żyć TERAZ, a nie kombinować co będzie za jakiś czas, bo nie wiemy co będzie – mówiła.



Nieuniknione przyszło wiosną.

“ Na pytanie: dlaczego zło spotyka dobrych ludzi, Dominika odpowiedziała kiedyś: nie wiem czy zło i choroby pochodzą od Boga, ale wiem na pewno, że Bóg ze zła potrafi wyprowadzać dobro. Nie zmarnujmy daru obecności wśród nas Dominiki, obecności ziemskiej, już zamkniętej, i obecności, którą jest Świętych Obcowanie z nami. To bowiem co widzialne, przemija, to zaś co niewidzialne, trwa wiecznie – mówił podczas pogrzebu ks. Adam Boniecki, przyjaciel rodziny Woźniakowskich.

Jan Hubert Piotr i Iwo musieli odtąd radzić sobie z tęsknotą za tym, co przeminęło. Przez rodzinną drogę krzyżową szli – jak wspomina Jan – od samego jej początku mocniejsi dzięki ludzkiej dobroci.

“ Spotykaliśmy tę dobroć w najtrudniejszych chwilach i spotykamy nadal. Niektórzy oferowali pomoc poprzez umożliwianie kontaktów z lekarzami. Inni po prostu byli obecni, tym samym wnosząc dużo dobrego. Ktoś nieoczekiwanie zrobił zakupy, wziął Iwa na spacer, zawiózł Dominikę na badanie, przyniósł kwiaty, pomógł finansowo. Splot wydarzeń związanych z Iwem i Dominiką, a potem z Hubertem wyzwolił piękne odruchy bezinteresowności. Były rozmaite zaskakujące sytuacje i wydarzenia, takie jak aukcja dzieł sztuki na rzecz Dominiki, Huberta i Iwa zorganizowana przez znajomych. Policjant, który widząc Iwa daruje mi mandat za przekroczenie prędkości, sprzedawca kranów, który słysząc o naszej sytuacji daje nam zniżkę, doktor, który nie chce pieniędzy za wizytę – wspomina Jan.

Ratunkiem przed samotnością, która jest zwyczajnym stanem po utracie ukochanej osoby jest dla Jana Iwo, Piotr i Hubert. Rola taty całkowicie go pochłania.

“ Do dziś noszę zadrę w sercu, bunt z powodu odejścia Dominiki, choć często słyszę, że to, co nas spotkało i jak sobie z tym radziliśmy, pomogło komuś spojrzeć na jego własne problemy w innym świetle. Ta świadomość pomaga – mówi Jan.

Z „gniazda” Woźniakowskich wyfruwają powoli dwa, coraz bardziej samodzielne, młode „Orły”. Piotr jako jedyny zdrowy myśli, że i jego jakaś choroba pewnie dopadnie, więc nie pali, pije okazjonalnie, uprawia w każdej wolnej chwili mnóstwo sportów, do czego ma ewidentny talent. Co jakiś czas sprawdza krew, aby mieć pewność, że nic się nie przypałało. Studiuje geologię i praktycznie patrzy na życie. Chce zdobyć porządną pracę, aby mógł zadbać o braci, gdy pojawi się taka potrzeba.

“ Czuje się za nich odpowiedzialny – mówi Jan.

Gdy Hubert dowiedział się, że jego rówieśnik i sąsiad z sali szpitalnej miał nawrót choroby i w dwa tygodnie pożegnał się z tym światem, wróciły wspomnienia. Nagle bardzo spoważniał. Uradził z ojcem, że powinien skontaktować się z matką chłopaka, który odszedł. Samotność po odejściu kogoś kochanego łatwiej oswajać z kimś, kto wie jak boli taka tęsknota bez szans na spełnienie po doczesnej stronie życia. Hubert miał okazję pomóc.



Ma duszę artysty, niespecjalnie przejmuję się materialną stroną świata, może trochę buja w obłokach, ale dzielnie sobie radzi. Skończył szkołę reżyserii dźwięku, ma fach w rękę, studiuje psychologię, gra w kilku zespołach na gitarze, perkusji i trąbce, wydaje płyty, długo zasuwał jako barman i jest bardzo ceniony przez kolegów muzyków. A o fankach nie wspomnę, bo to widać na koncertach – chwali syna ojciec.

Może się zdarzyć, że Lwo nie wyfrunie na własnych skrzydłach z gniazda. Takie już z niego Orlątko – niespodzianka. Tuż po narodzinach udzielił rodzicom i braciom lekcji cierpliwości i pokory, a teraz uczy ojca i braci, że nie wszyscy muszą umieć latać, aby razem unieść się ku niebu. Po to Jan, Piotr i Hubert mają zdrowe skrzydła, aby Lwo też mógł czuć się orłem. Na tym polega miłość.



Słyszymy z różnych stron, że Lwo potrafi się czasem odwzajemnić za wszystko, co dobre. Przychodziło do nas wielu ludzi, których tak nietypowe dziecko ciekawiło, intrygowało. Niektórzy lubili przebywać w jego obecności, inni po prostu siedzieli z nim w ciszy, jeszcze inni próbowali znaleźć jakiś kontakt pozawerbalny. Zgodnie mówili, że Lwo wpływa na nich kojąco, mogą przy nim odpocząć, zapominają o codziennych kłopotach i w jakiś sposób czują się przy Lwie bezpiecznie. Kontakt z dzieckiem niepełnosprawnym pomaga spojrzeć na problemy życiowe z innej perspektywy – mówi tata Lwa.

Lwo jest zagadką. Rośnie, rozwija się, ale nikt nie wie ile rozumie ani co myśli. Nie mówi. Potrafi pokazać, że chce jeść, spać, wie co to spacer, muzyka, jazda autem. Nie wiadomo do końca co lubi, a czego nie. Co go cieszy, a czego się boi. Można tylko zgadywać.



Wydaje mi się, że jest człowiekiem zadowolonym, szczęśliwym. Czuje, że kochamy go i akceptujemy. Na razie ma względnie łagodny charakter, choć czasem wpada we frustrację, zdeprymowany tym, że nikt go nie rozumie. Wali wtedy łokciami w stół, szczypie się, drapie, staje piętą na palcach drugiej stopy. Może musi poczuć wszystko intensywniej, wtedy czuje, że żyje. Gdy jesteśmy wszyscy razem i jest spokój, jest zadowolony. Czy jego nagłe obejmowanie, przyciąganie i prośba, by pocałować go w szyję albo w kark, to czułość, czy chęć bycia podrapanym nieogoloną brodą? Tego też nie wiem. Może to pochodna chęci mocnych doznań – zastanawia się tata chłopca – zagadki.

Hubert i Piotr kilka dni w tygodniu spędzają w Warszawie. Jan zostaje wówczas z pracą, z domem, z lwem i z psem – Babą, który cierpliwie znosi tarmoszenie w wykonaniu Niespodzianki. Lwa trochę smuci opustoszone nieco gniazdo, ale nie ma na to rady.

“*Lwowy przypadek jest tak rzadki, że trudno cokolwiek powiedzieć na temat postępów, czy ich braku, bo brakuje punktu odniesienia. Nie ma z kim porównać. Mało jest w świecie podobnych przypadków. Nie wiadomo więc czy to, co się udało osiągnąć, to jest sukces, czy porażka. Zawsze myślę, że można więcej. Można znaleźć jeszcze lepszego terapeutę, zapłacić dzień większą ilość zajęć dodatkowych. Ale przecież Lwo, prócz terapii, musi też mieć życie, bo każdy by zwariował, spędzając czas wyłącznie na rehabilitacji* – zauważa Jan.

Tak pięknie żyje rodzina Orłów, do której Bóg oddelegował Anioła. A może to jest tak, że wszyscy Woźniakowscy zostali oddelegowani, aby ludzie, którzy nie potrafią pogodzić się z cierpieniem czy tęsknotą, mogli uczyć się od mistrzów? Nawet Lwo – choć nie umie mówić – uczy dystansu do mało istotnych spraw, wyrozumiałości do inności, zmiany własnych widzimisię, rezygnacji z egoizmu.

Ociec trójki dzielnych chłopaków jest – jak zapewnia – człowiekiem szczęśliwym. Zaznał w życiu przepięknej miłości, cieszy się jej owocami, wierzy, że wszystko, co przydarzyło się jemu, Dominice i dzieciom, ma sens. Nawet jeśli mocno bolało. Ufa, że czeka go w życiu jeszcze wiele dobra. Ból nie odebrał mu marzeń.

“*Marzę, żeby dzieci były szczęśliwe, żeby miały kochające rodziny, żeby robiły w życiu interesujące rzeczy, żeby naprawiały świat* – wylicza. ●



06.

ANGELIKA CHRAPKIEWICZ -GADEK

Krok po kroku
w stronę marzeń





Krok po kroku w stronę marzeń

Angelika ma szczęście wymalowane na buzi. Wystarczy spojrzeć jej w oczy, aby zobaczyć szczęście. Jej znakiem rozpoznawczym, prócz buczy blond włosów i roześmianych oczu, jest wózek inwalidzki. Mały, zgrabny, lekki... Mój pierwszy rzut oka na promieniejącą radością śliczną dziewczynę w energetycznej, czerwonej sukience siedzącą na tym wózku, wywołał myśl: pojazd pięknie dobrany do szpilek. Angelika lubi sukienki, szpilki, wyzwania, góry, a przede wszystkim lubi ludzi, którzy odwzajemniają się tym samym. Każdego dnia musi walczyć ze skutkami nieuleczalnej choroby, ale choroba nie ma szans. Nawet, jeśli ujmuje siłę i zmusza do rezygnacji z samodzielnego chodzenia, w ostatecznym rozrachunku przegrywa z kretelem, bo nie może odebrać marzeń.

W 1980 roku, gdy była trzyletnią dziewczynką, zdiagnozowano rdzeniowy zanik mięśni. Cios losu trafił na mocnego przeciwnika. Mama – Krystyna i tato – Jan od początku wytoczyli przeciwko chorobie córki ciężkie działa: **mądrość**, która podpowiadała, aby mimo wszystko nie zamykać małej pod kloszem i pozwolić jej na typowe dziecięce szaleństwa łącznie z chodzeniem po drzewach, **cierpliwość** w tłumaczeniu, że mnóstwo rozkosznych godzin beztroskiej zabawy trzeba zamienić na długie godziny żmudnej rehabilitacji i najważniejsze: **miłość**.



To dzięki nim jestem, jaka jestem – uśmiecha się Angelika.

Jest kobieta, serdeczna, świetnie zorganizowana – jak mama. Jest też silna, odważna, uparta – jak tato. Po obojgu ma talent do wyławiania z morza codzienności wszystkiego, co może być powodem do szczęścia.



Gdy byłam małą, rodzice tłumaczyli, że moje życie będzie inne, ale „inne” nie oznacza: „gorsze”. Nie stosowali wobec mnie taryfy ulgowej, nie zabraniali niczego, tylko dlatego, że jestem chora. Jeździłam więc na rowerze, wspinałam się po drzewach, wracałam do domu z kawałkami asfaltu w rozbitych kolanach i nosiłam kubki z gorącą

herbatą po schodach, mimo że po drodze połowę rozlewałam – opowiada Angelika. Wiedziała doskonale, że nadejdzie taki dzień, gdy nie będzie już mogła wsiąść na rower, wyjść po schodach ani pójść na spacer na własnych nogach.

Gdy nadszedł ten trudny dzień, miała 14 lat.

Podczas spaceru poczułam straszliwy ból w biodrze. Udało mi się podejść do chłopaka, który nieopodal malował płot. Poprosiłam go o pomoc. Zaniósł mnie na rękach do pobliskiego sanatorium. Po tym zdarzeniu musiałam przyznać się rodzicom, że słabnę, że potrzebny będzie wózek – wspomina.

Wózek nie oznaczał jednak dla niej rezygnacji z marzeń. W pogoni za nimi Angelika wyfrunęła z rodzinnego Zakopanego i zamieszkała w Krakowie, gdzie skończyła studia, znalazła pracę w biurze turystycznym, rozkręciła działalność krakowskiego Stowarzyszenia Centrum Turystyki Podwodnej „Nautica”, spojrzała na świat spod szczytu Kilimandżaro, zaangażowała się w dzieło promocji twórczości osób niepełnosprawnych w spółdzielni „Republika Marzeń Mimo Wszystko” Fundacji Anny Dymnej, a w międzyczasie wyszła za mąż, znalazła się w finale konkursu Miss Polski na wózku, skoczyła ze spadochronem... Z bagażem niezwykłych doświadczeń i całkiem sporą listą spełnionych marzeń, kilka lat po trzydziestych urodzinach zaczęła układać misterny plan napisania książki. Czemu? Bo już wie, że jej historia mogłaby być skutecznym lekarstwem na ból istnienia dla ludzi, których zmysły są mniej wyostrzone na dobre strony życia, dla niewi-



domych na radość, głuchych na nadzieję, dla sparaliżowanych, gdy nadarza się okazja, aby sięgnąć po miłość, albo pójść, pojechać, popłynąć, pofrunąć po sukces.

Angelika chciałaby podać dalej wszystko to, co sama dostała od ludzi – życzliwą pomoc, którą trzeba umieć z uśmiechem przyjmować oraz zestaw „patentów” na szczęście.

Jednym z takich patentów było dla niej nurkowanie. Na podwodną przygodę namówił ją kolega – Radek. Chłopak musiał pogodzić się z perspektywą życia na wózku inwalidzkim po wypadku, po którym stracił władzę w nogach. Pływanie okazało się dla niego sportem idealnym. Zaproponował Angelice, aby także spróbowała. Potraktowała propozycję życzliwie, ale bez większego entuzjazmu.



Nie wyobrażałam sobie, że nurkowanie może mi się spodobać. Po pierwsze dlatego, że zwyczajnie bałam się pływać, a po drugie – byłam przekonana, że skoro woda, w której się pływa jest zwykle zimna, więc niby jaką mam mieć z tego przyjemność? Mimo wszystko zdecydowałam się i doświadczyłam fantastycznego uczucia. W wodzie można zapomnieć o grawitacji, o wózku, o ograniczeniach, z którymi trzeba mierzyć się na lądzie. W wodzie i pod wodą jest wolność – mówi Angelika.

Gdy zakochała się w nurkowaniu, miała 20 lat. Była pierwszą Polką z zanikiem mięśni, uprawiającą tę dyscyplinę sportu. Pokłosiem podwodnej pasji góralki stała się społeczna praca w Stowarzyszeniu Centrum Turystyki Podwodnej „Nautica”. Angelika organizuje dla niepełnosprawnych szkolenia i wyjazdy nurkowe. Choć sama ma zbyt mało czasu, aby uczestniczyć osobiście we wszystkich eskapadach, cieszy się za każdym razem, gdy tak samo – jak niegdyś ona – inni ludzie oszołomieni uczuciem podwodnej ślebody dzielą się radością, zdjęciami, wrażeniami.

Kolejnym patentem na szczęście okazała się serdeczna znajomość z panią Anną Dymną z załogą Fundacji Mimo Wszystko. Zaczęło się od zaproszenia drużyny niepełnosprawnych nurków na dni integracji. Od słowa do słowa, od spotkania do spotkania zrodziły się przyjaźnie. Przy okazji jednej z towarzyskich wizyt pod gościnnym dachem fundacji, Angelika dostała propozycję współdowodzenia „Republiką Marzeń”.



To integralna część fundacji, zajmująca się promocją twórczości osób niepełnosprawnych – wyjaśnia.

Pewnego dnia pani Anna Dymna zaproponowała jeszcze więcej: udział w wyprawie na najwyższy szczyt Afryki – Kilimandżaro.

– Zastanawiałam się nie dłużej niż 30 sekund – śmieje się dziewczyna. W składzie wyjątkowej wyprawy znaleźli się także niepełnosprawni sportowcy – Jarek Rola i Piotrek Truszkowski, którzy jako nastoletni chłopcy stracili obie nogi, (na szczyt Afryki Jarek pojechał na rowerze napędzanym siłą rąk), Jan Mela – zdobywca dwóch biegunów Ziemi, któremu nie przeszkodził w podróżniczych wyczynach brak jed-



nej ręki i nogi, Katarzyna Rogowiec, która jako dziecko straciła obie ręce, niewidomy od urodzenia muzyk – Łukasz Żelechowski oraz Krzysztof Gardas i Krzysztof Głombowicz – obydwaj poruszający się o kulach pasjonaci górskich wypraw. Młoda góralka, na co dzień poruszająca się na wózku inwalidzkim, pokonywała zbocza góry na plecach zdrowych, silnych wędrowców i choć okupiła tę wyprawę ogromnym bólem kręgosłupa, przeżyła kolejne – po nurkowaniu – zauroczenie. Siedem lat po afrykańskiej przygodzie coraz odważniej marzy, aby stanąć na najwyższym szczycie gór najbliższych sercu – Tatr.

Pod Tatrami się wychowała, tutaj też jej ścieżki skrzyżowały się ze ścieżkami Szymona. Niemalże udział w tym „krzyżowaniu” miał ksiądz Andrzej Grodecki, który postanowił zintegrować swoich parafian: zdrowych z chorymi i sprawnych z niepełnosprawnymi.

Kiedyś, podczas wizyty po kolędzie w moim rodzinnym domu zauważył wózek inwalidzki. Spytał, czy to sprzęt. Nie było mnie wtedy, rehabilitowałam się w sanatorium. Rodzice opowiedzieli o mnie, a on poprosił, aby przekazali mi zaproszenie na spotkanie grupy, którą organizuje. Szymon był w tej grupie jednym z chłopaków, którym ksiądz Andrzej powierzył misję pomagania – opowiada Angelika. – Stworzyliśmy paczkę przyjaciół, zaczęły się wspólne wypady na ogniska, wyjazdy na wakacje...

Z przyjaźni zrodziła się piękna miłość.

Przed ołtarz kościółka na Pęksowym Brzyzku Angelika dotarła na własnych nogach. Trochę wbrew rutynowym rokowaniom wielu lekarzy wciąż chodzi. Czasem jest w stanie zrobić tylko kilka kroków, innym razem – kilkanaście. W czerwcu 2015 roku udało się postawić ich aż 94! To zasługa żmudnej rehabilitacji, która stała się dla Angeliki bardziej znośna od kiedy zaczęła dla niej używać określenia „fitness”. Fitness czyni cuda.

„Pierwsze podejście – 70 kroków, drugie – 48, trzecie – już nie pamiętam ...czwarte – idę przed siebie... to, co jest wkoło nie ma znaczenia, myślę, jakie to cudowne uczucie czuć ziemię, zmienić pozycję ciała choć na chwilę, nogi zaczynają mi się trząść, czuję okropny ból w plecach, ale stawiam krok po kroku! Moje kochane krocзки, które są dla mnie tak ważne! Jestem szczęśliwa. Nigdy nie straciłam nadziei do końca, że jeszcze kiedyś popatrzę na wózek z góry” – napisała w internetowym pamiętniku, który można znaleźć w sieci pod hasłem „angisteps”.

Świat się zmienia, medycyna także. Jest nadzieja, że ktoś - dla kogo ta dziedzina nauki jest pasją, ktoś równie mocno uparty jak Angelika – znajdzie lekarstwo na rdzeniowy zanik mięśni. Wtedy dzielna góralka zrobi tysiąc kroków, a później jeszcze więcej. ●



07.

**IGA, JULKA,
DOROTA
HEDWIG**

W podróży
z życia do życia



W podróży z życia do życia

31 lipca 1987 roku o godz. 17.40 świat powitał małą Igę – pierwsze dzieciątko w rodzinie Hedwigów. Zegar Pana Boga zaczął odmierzając czas. Miał do odmierzenia 23 lata. Tylko tyle i aż tyle, bo wystarczyło na mnóstwo radości, miłości, na spełnione marzenia, na oswojenie bólu i myśli o tym, że trzeba będzie się żegnać. Iga żyła pięknie. Bez strachu przed odejściem, na które zawsze wydawała się być gotowa. 16 marca 2010 o godz. 17.03 spokojnie zasnęła dla tego świata. Powędrowała do grupy przyjaciół i na spotkanie z Bogiem, któremu bezgranicznie ufała. Nazywała ich pieczołtliwie „mukoludkami”. Zanim dopełnił się jej czas, musiała żegnać Ulkę, Kingę, Oskara, Pawła, Arka, Matiegio, Patryka, Dagę, Martynkę...



Dziś wiem, że to wszystko... wszystko było potrzebne. Taka była jej misja. Świadection jej życia, pozostawiony przez nią pamiętnik, który przeczytało już tak wiele osób, to wszystko pomaga dziś w walce o skuteczne leczenie innych chorych – mówi mama Igi, Dorota Hedwig, niegdyś złota medalistka mistrzostw świata juniorów w kajakarstwie górskim, dziś pani prezes Polskiego Towarzystwa Walki z Mukowiscydozą i mama piątki dzieci.

Z nieuleczalną chorobą przyszły na świat dwie córki Doroty: Iga i Julka. Dla Igi udało się wywalczyć kilka przepięknych, intensywnych lat. Było to możliwe dzięki przeszczepowi płuc. Dla Julki i jej rówieśników uda się prawdopodobnie wywalczyć dużo, dużo więcej. Aż wreszcie będzie można definitywnie pokonać mukowiscydozę. Dopiero wtedy Dorota Hedwig będzie mogła odpocząć.

Mukowiscydoza to choroba genetyczna, która tłumacząc najprościej – niszczy płuca. Przeciętna długość życia chorych nie przekracza w Polsce 25 lat. W Europie Zachodniej ludzie z tą chorobą żyją niemal dwukrotnie dłużej. Już u nastoletnich „mukoludków” oddychanie staje się coraz trudniejsze, zaczyna brakować sił na najprostsze czynności, jak chodzenie, mówienie. Przez jakiś czas można przedłużyć życie dzięki butli tlenowej. Dlatego na buziach chorych widać charakterystyczne „wąsy” rurek dopro-

wadzących tlen. Przychodzi jednak czas, gdy tlen nie wystarcza. Jedynym ratunkiem jest wtedy przeszczep płuc. Jeśli operacja się uda, życie odmienia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nagle można zapomnieć o aparaturze, bez której nie można było wcześniej przeżyć i zacząć biegać, tańczyć, żyć pełnią życia. Do czasu, aż choro-
roba nie zniszczy nowych – przeszczepionych płuc.

Tak właśnie było z Igą. Od wczesnego dzieciństwa musiała pogodzić się z tym, że szpital będzie jej drugim domem. Stał się także miejscem, gdzie znalazła mnóstwo przyjaciół. Serdecznej, zawsze pogodnej, mądrej i ślicznej dziewczyny nie sposób było nie pokochać i nie zapamiętać, tym bardziej, że miała wyjątkową zdolność zarażania innych swoim optymizmem i ufnością, że dobry Bóg, życzliwie nazywany przez nią „Szefem”, zawsze prowadzi do dobrego celu. Nawet tracąc siły, nie traciła nadziei.

W Wigilię Bożego Narodzenia 2005 roku Dorota Hedwig z mężem – Jarkiem, trójką synów i małą Julcią zasiadali do stołu ze świadomością, że to mogą być ostatnie święta spędzone z 18 – letnią wówczas Igą. Od wielu miesięcy niemal przez cały czas korzystała z tlenu i spała siedząc, bo w tej pozycji łatwiej oddychać. Hedwigowie modlili się w te pamiętne święta o cud.



Z pamiętnika Igi: „24 grudnia 2005: Iga w tym roku słaba jak wróbelek. Mama pomagała mi się ubrać, tata zaniósł do wigilijnego stołu (...) Przy stole ledwo siedziałam, siły odpłynęły, serce gnało jak szalone. Zjadłam trochę barszczu, choć łyżka wydawała się tak ciężka, jakby ważyła ze sto kilo.... 31 grudnia 2005: Dziś sylwester, nieste-





ty, spędzę go w rabczańskim szpitalu (...). Jak to się mówi: „jak się nie ma co się lubi, to się lubi, co się ma.”

16 stycznia zdarzył się cud: zadzwonił telefon z Wiednia. – Są płuca dla Igi – usłyszała pani Dorota w słuchawce. W styczniu osiemnastoletnia sądeczanka, wraz z płucami zmarłej, młodej Węgierki, otrzymała nowe życie.

“ Z pamiętnika Igi: 17 lutego 2006: „Panie Jezu, dziękuję Ci za moje nowe życie. Za to, że mogę chodzić, śmiać się, poznawać nowych ludzi, realizować moje marzenia i plany. Ale cieszę się również z tego, co było. Kiedy brakowało mi powietrza i skazana byłam na tlen. Kiedy byłam bardzo słaba, a każdy ruch był dla mnie nie lada wyczynem. Kiedy musiałam spać na siedząco, by tak bardzo nie dusiło. Dziękuję za wszystko. Naprawdę dużo mnie to nauczyło.

27 lutego: zakupy w szybkim tempie. Oj coś pięknego móc chodzić bez kabeleków i wędrować wśród alei bez jakiegokolwiek braku siły...”

Lga otrzymała drugie życie. Niepełne trzy lata wspaniałego daru od Boga. Przez 18 lat nie mogła być samodzielna, realizować marzeń i nagle świat stanął przed nią otworem – wspomina Dorota Hedwig. – Pozwolił mi jej „żyć” – sama o sobie decydowała, podejmowała wyzwania. Pół roku po przeszczepie zrobiła prawo jazdy. Świetnie radziła sobie za kierownicą. Miała mnóstwo przyjaciół, spędzała z nimi czas do trzeciej nad ranem. Zaliczała po kolei kursy barmanki, instruktorki tańca, zimą uprawiała snowboard, zakochała się... Kiedy mówiłam, że żyje za szybko, odpowiadała, że nie ma wiele czasu. Była świadoma swojej kruchości – mówi Dorota Hedwig.

Bo choć z nowymi płucami, dziewczyna wciąż przecież była śmiertelnie chora.

W tym szalonym czasie Lga zostawiła po sobie takie oto słowa:

Każdego dnia prosiłam Boga, by mnie uzdrowił, jeśli taka jest jego wola. Jeśli natomiast Jego wola jest inna, niech się stanie jak chce. Tych chwil nie da się wymazać z pamięci, a co dopiero z serca. One będą towarzyszyły mi do końca moich dni. Bardzo dużo mnie nauczyły. Teraz, kiedy moje skrzydła nie są skrępowane i swobodnie szybuję po niebie życia, ludzie mówią: baw się, żyj pełnią życia, nadrabiaj, co straciłaś. To całkiem inne życie, ale zawsze trzeba pamiętać dzięki komu je mam i szanować każdą jego sekundę.

„Szybując” po niebie życia Lga cały czas pozostawała w kontakcie z chorymi na mukowiscydozę przyjaciółmi. Prawie każdego miesiąca żegnała kogoś, kto nie miał tyle szczęścia, co ona i nie dostał drugiego szansy.

Pomimo ryzyka złapania od nich infekcji, na które była po przeszczepie bardzo narażona, wsiadała w auto i ruszała do rabczańskiego oddziału, który przez osiemnaście lat życia był jej drugim domem. Jechała, aby dać nadzieję tym, którzy nie chcieli walczyć, byli zmęczeni chorobą i nie wierzyli, że może być lepiej. Śmierć nie była dla niej tematem tabu. Często rozmawialiśmy o tym mając świadomość, że ten stan nie będzie trwał wiecznie. Prosiłam Boga, aby dał nam siłę na pogodzenie się z sytuacją, kiedy przyjdzie jej odejść – wspomina mama, Dorota.

Czas zaczął „kończyć się” w styczniu 2009 roku. Wynik badań kontrolnych był dramatyczny. Potrzebna była intensywna terapia przeciwozrzurowa, która bardzo osłabiła organizm. Z dnia na dzień Lga traciła siły.

Kiedys Lga napisała, że ona wszystko zniesie. Każde cierpienie, a nawet dwa razy więcej, byleby Julka miała lepiej. Jak ona bardzo kochała swoją młodszą siostrzyczkę – wdycha przyjaciółka Igi – Ola.

Drugi cud się nie zdarzył, choć Lga dostała na kilka tygodni przed śmiercią trzecie płuca. Półtora miesiąca po przeszczepie serce przestało bić.

W opublikowanych w 2011 roku dziennikach Igi Hedwig zatytułowanych „Moje życie jest cudem” znalazł się między innymi list jej taty. Napisany został już po 16 marca 2010 roku.



...Cieszyłem się Twoim szczęściem. Nieraz ze śmiechem mijaliśmy się na schodach. Ja – idący spać, a Ty – na imprezkę. Kochałaś tańczyć. I o co miałem mieć do Ciebie żal – że chcesz przeżyć swoje życie w te trzy lata, które dostałaś od „Szefa”? Że z każdej sekundy starasz się wycisnąć maksimum? Dopiero teraz, gdy przeglądam Twoje rzeczy, widzę ile osiągnęłaś, co przez te trzy lata zrobiłaś. Mogę śmiało powiedzieć, że całe moje życie (choć nie wiem ile jeszcze pożyję) mógłbym zmieścić w połowie tego, co Ty przeżyłaś. Cóż, mogę Ci teraz powiedzieć jedynie: do zobaczenia i ... przyjdź do mnie czasem, choć we śnie, kochana. Ja będę czekał...”

Jarek Hedwig umieścił w tym fragmencie powtórkę z najważniejszej lekcji, jaką śmiertelnie chora dziewczyna pozostawiła do odrobienia wszystkim, którzy usłyszą lub przeczytają opowieść o niej: nie ważne, jednak ile życia i ile cierpienia przed Tobą i za Tobą – ważne, aby przeżyć jak najpiękniej czas, który pozostał. ●



08.

**ARTUR
ROGALSKI**

Uśmiech
ma kształt
Rogalika





Uśmiech ma kształt Rogalika

Chłodno. Przyprószonym śniegiem deptakiem jedzie na wózku inwalidzkim młody chłopak. Z troską pochyla się nad człowiekiem siedzącym pod ścianą budynku, który wyciągniętymi w kierunku przechodniów dłońmi prosi o pomoc. Niepełnosprawny nie mija go obojętnie. Spełnia prośbę. Już nie jest tak chłodno...

Fotografia Artura Rogala Rogalskiego zwraca myśli z pułapek stereotypów. To, że ktoś nie chodzi, nie widzi, nie słyszy, nie ma rąk – nie oznacza, że jest uboższy od zdrowych ludzi. Często wręcz przeciwnie. To, że ktoś zamiast chodzić jeździ na wózku, nie oznacza jeszcze, że potrzebuje pomocy. Bardzo prawdopodobne jednak, że może i chce pomóc komuś zdrowemu. Artur lubi uwalniać myśli, zadziwiać, zaciekawiać tych, którzy oglądają jego obrazy „malowane” aparatem fotograficznym.

Jest absolwentem kierunku Artystyczna Grafika Komputerowa, na Wydziale Sztuk Pięknych i Projektowych Łódzkiej Wyższej Szkoły Informatyki i Umiejętności.

Od urodzenia choruje na zanik mięśni. Od 2005 roku jego prace są nagradzane i wyróżniane na prestiżowych konkursach. Od kilku lat Artur spełnia swoją pasję we własnym studio fotograficznym, które zbudował od podstaw w garażu i realizuje zlecenia reklamowe firm – gigantów.

Nie podniesie sam aparatu fotograficznego, bo ręce są zbyt słabe, ale dźwiga ciężką chorobę z uśmiechem, z mocą siłacza.

Pomysł na pracę związaną z fotografią i grafiką dojrzewał od czasów szkoły średniej.



„Dostałem wtedy pierwsze zlecenie stworzenia strony internetowej. Pracowałem nad tym ponad miesiąc i zarobiłem pierwsze duże pieniądze: 300 złotych. Od dziecka interesowałem się komputerami i elektroniką. Najpierw myślałem o programowaniu, ale gdy kupiłem kompaktowy aparat fotograficzny, stwierdziłem, że tworzenie zdjęć jest jednak ciekawsze. Kolejnym krokiem były wygrane konkursy fotograficzne. Nie mam nawet tyle siły, aby unieść ciężki, profesjonalny aparat, ale wiedziałem od samego początku, że ze wszystkim jakoś można sobie poradzić - mówi.

Nigdy nie dał się uwięzić chorobie w czterech ścianach domu. W dzieciństwie cały wolny czas spędzał jak jego rówieśnicy. Zazwyczaj w gronie przyjaciół z osiedla.

„Lato zawsze było (i nadal jest) bardziej „aktywne”. Znajomi zabierali mnie na imprezy, do kina, na zakupy, albo chociaż „pobujać się” po mieście. Gdy dostałem wózek elektryczny, ja zacząłem zabierać ich. Na szczęście mam wyrozumiałych rodziców, którzy nie ograniczali mnie nadmiernymi zakazami. Zimą, kiedy trudniej jest wyjść z domu, nasz dom stawał się także domem moich przyjaciół. Znajomi wiedzieli, że nasze drzwi są zawsze dla nich otwarte, a jeśli nie drzwi, to okno. Bywało, że wracali do siebie tylko spać - opowiada Artur.

Są ludzie, którzy postrzegają wózek jako ograniczenie. On śmieje się, że wózek dał mu swobodę. Dzięki niemu mógł zagrać nawet w piłkę nożną.

„Umówiliśmy się, że będę bramkarzem, a strzały na moją bramkę powinny być kierowane nisko. Broniełem wózkiem, który na szczęście był wytrzymały na uderzenia. Zdarzyło się też bronić głową - wspomina.

Uczył się jak wszyscy jego zdrowi rówieśnicy: w normalnej szkole, bez klas integracyjnych. Trzeba było radzić sobie ze schodami i brakiem windy między piętrami. Najpierw pomagała mama, która czas lekcji spędzała w szkolnej świetlicy. Później jej rolę przejęli przyjaciele Artura. Wnosili go z wózkiem do szkoły, wyciągali książki z torbistra.

„Z pomocą kolegów można też było podriftować wózkiem po korytarzu. Dzięki ludziom wszystkie bariery znikają - uśmiecha się fotografik.

„Gdyby nie moja mama, która uparła się na tę normalną szkołę, nie byłbym pewnie tak otwarty na ludzi, jak jestem. Myślę, że ta otwartość to warunek dobrego samopoczucia - dodaje.

Arturowego sposobu na zdobywanie ludzkich serc nie trzeba długo rozszyfrowywać. Po prostu serdecznie uśmiecha się do ludzi, więc oni odwzajemniają tym samym.

Gdy czytam wypowiedzi innych niepełnosprawnych, zastanawiam się, czy żyjemy na tym samym świecie. A może są przewrażliwieni? Wielu z nich narzeka na przykład, że ludzie się na nich patrzą... Moim zdaniem to normalne. Gdy ja widzę coś nowego, albo mijam się z ładną dziewczyną, też na nią patrzę. Gdybym mógł normalnie chodzić i zobaczyćbym gościa takiego jak ja, który jedzie jakimś łazikiem marsjańskim, też przyglądałbym się. Proponuję więcej luzu, zaufania i uśmiechu – radzi.

Jak mówi – bywał w bardzo różnych miejscach - od teatrów, wystaw, restauracji, po undergroundowe, całonocne imprezy w środku lasu. Bawi się życiem i nie pozwala, aby choroba przeszkodziła mu w czerpaniu z niego radości. Lubi dzielić się tą radością. Z pomocą przyjaciół zamontował w swoim wózku zestaw audio o potężnej mocy (360W RMS).



“ Zdarzało mi się, że gdy słuchałem muzyki wieczorem w parku, w centrum miasta, ludzie wstawali z ławek i rozkręcała się mała impreza – śmieje się.

Na swoje słabe mięśnie ma sposoby: lekkie, plastikowe sztucce, które w zaprzyjaźnionych restauracjach kelnerki podają bez upominania się. Bardzo pomocna jest też aplikacja na smartfona, która aktywuje wyświetlacz, gdy pomacha się palcem przed czujnikiem zbliżeniowym. Jest też inna – umożliwiająca sterowanie kursorem myszy przez telefon.

“ Gdy leżę w swoim pokoju, a zza ściany słyszę krzyk siostry: „przycisz tę muzykę!”, mogę to zrobić, mając w ręce telefon – żartuje Artur.

Do robienia zdjęć używa lekko zmodyfikowanego pilota radiowego. Znajomy przzerobił w nim przycisk tak, aby działał przy minimalnym użyciu siły.

Dzień po dniu Artur zbliża się do swoich marzeń. Chce rozkręcić firmę na tyle, aby było go stać na zupełną niezależność.

“ Wiem, że mogę to osiągnąć tylko dzięki własnym zarobkom. Chciałbym kiedyś mieć własny dom, wynająć asystenta, który pomagałby mi w codziennym życiu. Chciałbym też mieć czas na to, aby poznać wyjątkową kobietę i sprawiać, żeby była szczęśliwa – mówi. ●



09.

**GAJA
STAROŃ**

Córka
Smoczycy





Córka Smoczycy

Smoczyca Aleksandra zdała najważniejszy egzamin z miłości: pokochała swoje maleństwo szczerze i bezwarunkowo, zanim mogła je zobaczyć i poznać. Uratowała je przed śmiercią, zanim zdążyło się narodzić.
– A później nauczyła mnie ziać ogniem – śmieje się Gaja, smocza córka.

Zianie ogniem to smocza samoobrona – umiejętność bardzo potrzebna, gdy smok spotka na swej ścieżce człowieka, który o miłości wie niewiele, albo nic. Taki ktoś nie rozumie, że miłość nie zabija, ani nie rani. Ogień przyda się także podczas spotkania z człowiekiem niemądrym. Niemądry nie rozumie, że jeśli ktoś jest inny, to wcale nie znaczy, że jest gorszy albo nieszczęśliwy.



Aleksandra i Jacek dowiedzieli się, że Gaja będzie inna siedem miesięcy przed terminem, w którym ich córka miała pojawić się na świecie. Po badaniu USG usłyszeli od lekarza, że mają dwa tygodnie czasu, aby „coś z tym zrobić”. Tłumacząc z języka medycznej dyplomacji: „coś zrobić” oznaczało zabić dziecko, które będzie inne, jeśli się urodzi. Zabić kogoś dlatego, że będzie inny?

Ola dostrzegła, że Jacek, stojący za plecami lekarza, przecząco kręci głową. On też zdał egzamin z miłości. Wszystko było jasne: jedyne, co można było „z tym” zrobić, to kochać bez względu na wszystko.



- *A jeśli nie będzie mogło jeździć na rowerze?* – spytała Aleksandra.

- *Będziemy grać w szachy* – odpowiedział.

Pamiętna wizyta u lekarza nie była ostatnią, podczas której podpowiadano przerwanie ciąży.



Po jednej z takich rozmów obudziłam się rano, słysząc w głowie głos, który mówił: „nie macie prawa zrobić temu dziecku krzywdy”. Pomyślałam: anioł, i nawet trochę się zagniewałam, bo wcale nie było trzeba fatygować anioła, żeby bronił życia Gai. To, co sugerowali lekarze nie wchodziło w rachubę. Postanowiłam, że moje dziecko będzie szczęśliwe – mówi Ola.

Rączki dziewczynki, która przyszła na świat 26 grudnia 1997 roku, kończą się powyżej łokcia. Brakuje w nich dłoni. Jedna z nóg kończy się powyżej kolana. Brakuje stópki. Ale przecież szczęścia nie łąpie się dłońmi. Szczęście na pewno nie mieszka też w parze skarpetek ani nawet w parze bucików na obcasach.



Gdy Gajka była malutka, przyszła mi kiedyś do głowy taka myśl: co będzie, gdy ona pokocha kogoś, kto ją odrzuci. Ale po chwili olśniło mnie: bo to mało ludzi na świecie, którzy mają ręce i nogi, i są, albo byli, albo będą nieszczęśliwie zakochani? Dlaczego moja córka ma tego nie doświadczyć? – pyta mama Gai.



Moja mama to taka Smoczyca. Nie wahała się, gdy trzeba było użyć ognia gniewu w mojej obronie, ale też dobrze wiedziała, jak nauczyć mnie bronić się samodzielnie. Dzięki niej umiem radzić sobie ze swoimi emocjami i umiem też całkiem niezłe pyskować. Pamiętam taką scenkę z dzieciństwa: byłam na wczasach nad morzem... przypadkowo spotkana dziewczynka na mój widok woła do swojej babci: patrz, ona nie ma ręk, ona nie ma ręk! A ja słysząc to wołam do swojej babci: patrz, patrz – ona nie ma mózgu!

Tak właśnie smocze dzieci używają „ognia”, gdy ich ścieżki krzyżują się z niemądrymi ludźmi.





Jeśli biolodzy nie odnaleźli jeszcze w łańcuchach DNA genu radości, to powinni szukać go u Oli i Gajki. Obie mają tak samo uśmiechnięte oczy, obie mówią takim tonem, w jakim recytuje się wiersze o wiosnie i obie tak samo dziwią się, gdy pada pytanie: skąd ta radość? No jak to skąd? Przecież życie jest świetną przygodą. Ola zapytana o chwile rozpacz albo poczucia beznadziei, nawet nie szuka ich w pamięci, bo wie, że nie znajdzie takich wspomnień. Przykrości, z którymi trzeba czasem się zmierzyć, to jeszcze nie powód do rozpacz.

“ Jedna z sąsiadek, patrząc na małą Gajkę w dzieciennym wózku, powiedziała: „ona kiedyś będzie miała żal, że ją pani urodziła...” – wspomina. – To było przykre.

Niemilo było także słuchać, gdy namawiano ją, aby oddała małą do ośrodka dla dzieci niepełnosprawnych, prowadzonego przez siostry zakonne. Ktoś spytał: „no po co ci taka roślina?” – Mam dużo kwiatów w domu. Ten też wezmę – odpaliła.

Trochę przykro było, gdy życie zweryfikowało „bycie razem” z Jackiem. Rozstali się. Jednak Jacek ani na chwilę nie przestał być kochającym tatą dla Gajki. Z perspektywy czasu Ola ocenia, że to rozstanie wyszło chyba wszystkim na dobre. Dziś o miejsce w sercu Gai pięknie konkurują dwóch mężczyzn, którzy traktują ją jak córkę: tato i oj-

czym – Jacek i Marcin. Rozanielona Smoczyca uśmiecha się, że Marcina pewnie pode-
słał ten sam anioł, który bronił życia Gai. Opiekuńczy, ale nie nadopiekuńczy, odpowie-
dzialny, serdeczny, mądrze kochający mężczyzna szturmem zdobył dwa serca: mamy
i córki. Nawet Jacek go polubił.

Gaja zaraziła Marcina miłością do mocnej muzyki. Ma dzięki temu dwóch wiernych
towarzyszy, którzy porywają ją na koncerty: Jacka i Marcina. Jeden poluje na bilety
we Wrocławiu, drugi – w Łodzi.

Najważniejszy cel Aleksandry został osiągnięty: Gaja cieszy się życiem.



*Nie skupiam się na tym, że jestem niepełnosprawna. Skupiam się na tym, co mogę,
a mogę przecież dużo. Będę w życiu robić coś, co sprawia mi radość, nie obudzę
się nigdy z myślą, że zmarnowałam swój czas, że coś cennego mnie ominęło. Lubię
siebie, więc nie mogę dopuścić do sytuacji, w której musiałabym poddać się ostrej
samokrytyce – śmieje się dziewczyna.*



W codziennych czynnościach, do których komuś innemu potrzebne są ręce i nogi, Gaja radzi sobie bez pomocy. Ma przecież dwie ręce, tylko trochę krótsze i trochę inne niż zwykłe ręce. Ma nogę, na której może stanąć. Ma też wózek z napędem elektrycznym, na którym może poruszać się szybciej niż człowiek przebiegający zdrowymi nogami.

“ *Od kiedy pamiętam, rodzice uczyli mnie samodzielności – opowiada Gaja. – Gdy zdarzyło mi się wypaść z wózka, mama nie zrywała się, aby mnie podnieść. Czekająca, przyglądając się i dając mi szansę, abym poradziła sobie sama. Tato uczył mnie pływać, tak po prostu, bez taryfy ulgowej – położył na wodzie i czuwał, abym się nie utopiła. Miałam kiedyś ogromną ochotę na czekoladę. Problem w tym, że moja zachcianka była na najwyższej półce lodówki. Najprościej byłoby, gdyby ktoś mi ją podał. Ale to najprostsze nie byłoby najlepsze dla mnie. Żeby zdobyć tę czekoladę, musiałam wyjść na krzesło i sięgnąć po nią sama. Dzięki tym treningom umiem upadać tak, aby nie zrobić sobie krzywdy, umiem podnieść się, ubrać, zrobić makijaż...*

Z pomocy Gaja korzysta tylko wtedy, gdy trzeba bardzo się spieszyć.

“ *Na przykład, gdy w szkole ogłaszają ćwiczenia ewakuacji pożarowej. Ostatnio w takiej sytuacji wszyscy gorączkowali się, co ze mną zrobić. Schodziłaż zjeżdża na dół zbyt wolno. Ja też potrzebowałabym sporo czasu, aby samodzielnie pokonać schody. Jeden z kolegów błysnął wtedy kreatywnością. Po prostu wziął mnie na ręce i zniósł na dół. W takich chwilach nie protestuję, gdy ktoś chce pomagać – śmieje się Gajka.*

Nauczyła się pięknie pisać i rysować. Długopis albo ołówek trzyma między policzkiem a ramieniem. Wiedząc, że nie będzie mogła w przyszłości pracować używając rąk, inwestuje swój czas w doskonalenie umiejętności, do których potrzebna jest „głowa”. Zaczęła od nauki języków: angielskiego, niemieckiego, rosyjskiego, chińskiego... Gdy okazało się, że w tej dziedzinie ma nieprzeciętny talent, ułożyła sobie plan, jak zostać tłumaczem przysięgłym. Ma jeszcze jeden, wcale nie awaryjny, tylko równoległy plan: studiować psychologię.

“ *Bardzo lubię brać ludzi „pod mikroskop”, analizować ich zachowania – mówi. – W ogóle lubię rzeczy skomplikowane: gramatykę w językach obcych, filozofię Kanta, no i tę psychologię – dodaje.*

Już teraz bywa terapeutką, bo ma talent zarażania radością. Jeśli faktycznie zostanie psychologiem, kawałek Polski w promieniu jej osobistego oddziaływania zapomni, co to depresja.

W „smoczycach” książkach Cressidy Cowell, które doczekały się animowanej adaptacji filmowej, opatrzonej tytułem „Jak wytresować smoka”, Gaja ma swojego ducho-

wego sobowtóra: smoka Szczербатка – Nocną Furię. Uroczy Szczербatek nie ma skrzydła na ogonie, które potrzebne jest do latania. Korzysta więc z protezy. Gaja ma wózek do „latania” po mieście. Zarówno Gaja, jak i smok Szczербatek, są silni, dzielni i tak samo lubią psocić. No i mają w zanadrzu ogień, gdy trzeba przywołać do porządku niemądrych ludzi. ●



10.

**MICHAŁ
BAŁDYGA**

Krótki kurs
sztuki latania
tylko dla Orłów





Krótki kurs sztuki latania tylko dla Orłów

Poznałam Michała dzięki super-bohaterom. Jest zresztą jednym z nich, ale o tym później. Umówiliśmy się na spotkanie w Bielsku, które wskutek serii zbiegów okoliczności stało się moim drugim miastem. Zapraszając go na kawę nie zapomniałam poinformować, że w kamienicy jest winda. Wydawało mi się to ważne, bo Michał jest niepełnosprawny. Lewa ręka i lewa noga działają jak należy, ale z prawą stroną jest problem, a więc i z chodzeniem jest pewien kłopot. Mógł wygodnie wyjechać na górę, a jednak wdrapał się na tę umówioną kawę po schodach. Cały Michał: jest wyzwanie – jest zabawa, a poza tym nie po to orzeł ma skrzydła, żeby jeździć windą. W 2015 roku Michał obronił tytuł doktora na Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Rzeźbi, maluje, tworzy performance, projektuje grafiki. Swoją historię napisał sam. Przeczytajcie. Wtrąć się w tę opowieść tylko jeden raz.

Wszystko zaczyna się w Wenecji, w drodze powrotnej z festiwalu teatrów ulicznych. Jednym z gości festiwalu był polski teatr – Akademia Ruchu. Tam moi rodzice: mama Maria i ojciec Janusz poczęli mnie i przewieźli z ziemi włoskiej do Polski. Przyszedłem na świat 24 kwietnia 1980 roku. Byłem szczęśliwym dzieckiem aktorów niekonwencjonalnego teatru. W trzecim miesiącu życia dostałem szczepionkę, po której zaczęły się problemy. Płakałem. Długo nikt, włącznie z lekarzami, nie wiedział, co mi jest. W końcu babcia Ariadna zauważyła, że jej wnuczek nie bawi się prawą rączką, a i z nóżką jest coś nie tak. Diagnoza brzmiała: dziecięce porażenie mózgowe. Ruszył kołowrotek rehabilitacji i zabiegów.



Każda zdobyta przeze mnie umiejętność była dla mamy powodem do radości. Lubiłem bazgrać, więc bazgrałem, czym się dało i gdzie się dało. Mama zamiast gniewać się, wykleiła ściany szarym papierem, więc mogłem mazać do woli. Chcąc wyżej

sięgnąć, musiałem stawać. W ten sposób uczyłem się zwiększać zakres ruchu i zacząłem odkrywać swoje zdolności.

Mama opowiedziała mi kiedyś taką historię: Kiedy miałeś dziewięć miesięcy, widząc z jakim zapamiętaniem mazałeś flamastrami i kredkami, powiedziałam: narysuj kropkę. A ty buch – i jest kropka. Pomyślałam, że to przypadek, ale poprosiłam o kreskę. Ziuu i jest kreska. Ostupiałam. Czy to możliwe u tak małego dziecka? Eksperymentowałam dalej: Michał narysuj trójkąt. Raz, dwa, trzy! Narysowałeś trójkąt. A teraz koło. Jest koło! A kwadrat? Narysowałeś kwadrat. Byłam ogromnie zdumiona. Skąd takie małe dziecko może znać figury geometryczne? Czy to możliwe, że przychodzimy na świat z taką wiedzą w pamięci duszy? A jeśli tak jest, to dlaczego po jakimś czasie tracimy ją i musimy uczyć się od nowa?

Ot, cała historia początków mojej drogi artystycznej.

Jako małe dziecko zacząłem podróżować z rodzicami po Europie. Mogłem poznawać kolory, przedmioty, zwierzęta w naturze, a nie na szarych obrazkach książek wydawanych w tym czasie w Polsce. Niestety, moi rodzice rozstali się i moje podróże się skończyły.

Mama szybko zrezygnowała z marzeń, żebym był taki, jak inne dzieci i postawiła na to, co we mnie unikalne. Dbała, abym ćwiczył ciało i rozwijał umysł. Nie ma lepszego rozwiązania dla osób, które czują się niepełnosprawne (nawet jeśli są zdrowe fizycznie), jak zrównoważony rozwój ducha, umysłu i ciała. Prócz mamy dbał o mnie także Leon, który wychowywał mnie jak własnego syna. Leona i mamę połączyła kultura duchowa i joga.

Chodziłem do normalnej szkoły. Lubiłem bawić się z kolegami, ale miałem własny świat. Często zamykałem się w nim. Nie chciałem wtedy z nikim rozmawiać ani odpowiadać na pytania nauczycieli. Rodzina nigdy nie dała mi odczuć, że cokolwiek ze mną jest nie tak. Nie byłem dla nich niepełnosprawny. Po prostu inaczej funkcjonowałem. Mogłem czuć się nie inny, ale wyjątkowy. Trochę jednak odstawałem od normy – nie dało się tego ukryć.

Trzeba zaznaczyć, że nie wychowywałem się w „normalnej” rodzinie, a we wspólnocie ludzi, którzy wyruszyli w kierunku poznania siebie samego i sensu istnienia. Szli uniwersalną, ponadkulturową, ponadczasową i przekraczającą wszelkie koncepcje etyczno-religijne drogą, w poszukiwaniu źródeł Jaźni. Jej esencją jest pytanie: „Kim jestem?”, które – chciał nie chciał – zaczęło i mnie towarzyszyć. Postanowili oni stworzyć w górach ośrodek kultury duchowej. Znaleźli starą góralską chatę w Beskidzie Małym, gdzie zaczęliśmy jeździć na weekendy. Dzięki temu także całe wakacje spędzałem na świeżym powietrzu, wśród ludzi pracujących nad sobą w przyjaznej atmosferze. Tak więc, latem 1989 roku przeprowadziliśmy się do Bielska. Ponieważ z kolegami było kiepsko (pojawiał się wśród nich nowy, asymetryczny, niepełnosprawny kolega z Warszawy, z którym trudno nawiązać kontakt, który w piłkę nie pogra, bo kiepsko biega), więc zamykałem się w pokoju i rysowałem, malowałem, układałem klocki albo rozbierałem różne przedmioty na części pierwsze, więc od czasu do czasu coś psułem.





Gdy miałem 12 lat, ujawniła się u mnie padaczka. Nie lubiłem w niej przede wszystkim powrotu do przytomności, bo przykro było widzieć, jak duże wrażenie wywoływał u ludzi mój atak. Między mną a nimi powstawał mur utkany z lęku i niechęci doświadczania sytuacji, w której nie wiedzą jak mają się zachować i co robić.

Zajęcia z plastyki w podstawówce były dla mnie szczególne. W końcu Bałdyga był w czymś dobry, ba! Nawet lepszy. Pani od plastyki uważnie mnie obserwowała. W siódmej klasie zaproponowała mi udział w olimpiadzie z historii sztuki. Dzięki tej przygodzie rok później było mi łatwiej przygotowywać się do egzaminu wstępnego do liceum plastycznego. Tato przez dwa tygodnie wspierał mnie w wysiłkach. Nie pamiętałem już kiedy byliśmy ze sobą tak długo. Wyruszyłem wówczas w podróż nie tylko w stronę sztuki, ale też na spotkanie z ojcem – artystą.

Liceum nie chciało przyjąć niepełnosprawnego. Trzeba było interweniować w kuratorium. Dopiero po serii badań i testów psychologicznych, które potwierdziły moje zdolności, trafiłem do klasy o profilu wystawienniczym.

W drugiej klasie nauczyłem się wiązać buty. Może to późno, ale w tym wieku dzieciaki lubią szpanować, więc gdy tylko nadarzała się okazja - pokazywałem, że umiem wiązać sznurowadła na kokardkę jedną ręką.

Potrzebowałem czuć przynależność do grupy, a byłem w szkole artystycznej, więc pojawiły się długie włosy, kapelusz z szerokim rondem, poncho i oczywiście glany (nie mieli w sklepach ortopedycznych, więc ten okres raczej krótko trwał). W tym czasie koledzy zaczęli się interesować koleżankami, koleżanki kolegami, a ja zawałem język polski i miałem poprawkę z romantyzmu. To był trudny czas. Przechodziłem kryzys. Próbowalem - na szczęście nieudolnie - odebrać sobie życie. Wsadziłem głowę do piekarnika i wtedy do kuchni wszedł mój pies - dalmatyńczyk Dalma - który dał do zrozumienia, że robię największe głupstwo na świecie, a on przecież musi się wysikać. Kiedy wróciłem ze spaceru, zamknąłem piekarnik i położyłem się spać.

Całe wakacje po tym epizodzie spędziłem z Leonem w górach. Czytałem książkę za książką, pisałem wypracowanie za wypracowaniem i w końcu zdałem tę poprawkę. Nie skłamię, że lubiłem panią od polskiego. Ona chyba też mnie nie lubiła. Z perspektywy czasu oceniam to wszystko inaczej: dostałem „w kość”, ale to nauczyło mnie podnosić się z dna. Dowiedziałem się, jaka jest wartość pracy żmudnej, nieprzyjemnej, ale koniecznej.

Chciałem zmienić nastawienie niektórych nauczycieli do mnie i wtedy zrozumiałem, że to nie cel jest najważniejszy, ale droga ku niemu. W liceum brałem udział w wystawie, która pozostała w mojej pamięci. Stałem na korytarzu, gdy zza pleców usłyszałem donośny głos profesora Króla: Michał, to ty narysowałeś? Nie spodziewałem się tego po tobie! Ufff!



Nareszcie! W końcu zaczął traktować mnie poważnie – pomyślałem. Efekt jednak był taki, że wymagania mojego nauczyciela niebotycznie wzrosły. Było trudno, ale i jemu dziś jestem wdzięczny.

Po maturze bez powodzenia próbowałem dostać się na studia do Krakowa i Warszawy. Zostałem przyjęty na Uniwersytet Śląski w Katowicach – do filii w Cieszynie. Los sprawił, że dzięki mojej przyjaciółce, przeniosłem się na Akademię Sztuk Pięknych do Poznania. Trafiłem do pracowni prof. Jana Berdyszaka, w którym odnalazłem swojego mistrza.

Usłyszałem zdanie, które zrobiło na mnie duże wrażenie: „Michał ma wielki dar, jest niepełnosprawny”. Myśl goniła myśl: Jak coś takiego jak niepełnosprawność może być darem? A jednak może. Tragedia może czynić nas silniejszymi, jeśli podejmiemy wyzwanie i nie będziemy użalać się nad sobą. Poszukiwanie pozytywnych rozwiązań rozwija i wzbogaca.

Po studiach wróciłem do Bielska Białej. Moje pierwsze doświadczenia z dziewczyną ujawniły nowy obszar. Okazało się, że relacja z drugim człowiekiem wymaga czasem dużo więcej uwagi i wiedzy, niż relacja z samym sobą. Na moje szczęście następne relacje pokazały, że ważniejsza jest dla mnie „muza”, dzięki której mogę doświadczać piękna i harmonii całego świata. Wdzięczność za to spotkanie uruchamia potrzebę, aby cieszyć się każdą chwilą życia.

Wróć jeszcze na chwilę do przeszłości. Każdy dzieciak coś zbiera. Ja otaczałem się komiksami. Szczególnie podobały mi się historie super-bohaterów. Próbowałem porównywać losy Petera Parkera, czy Clarka Kenta, ze swoją historią. Początkowo nie mogłem znaleźć podobieństw. Zdarzyło się jednak coś, co przyniosło przełom. Moja mama myjąc okna, spadła z drabiny. Odłamki szyby wbiły się w jej rękę. Rzuciłem się na ratunek, aby zatamować krwotok. Udało mi się wezwać na pomoc sąsiada, który zawiózł nas na pogotowie. Pierwszy raz w życiu to ja ratowałem kogoś, bo dotąd zawsze inni ratowali mnie. Po założeniu szwów, mama miała rękę unieruchomioną w temblaku. Szybko przyszła do mnie z prośbą: „Michał, naucz mnie obierać ziemniaki jedną ręką. Chcę też umieć zawiązać buta”. Wtedy okazało się, że w zadziwiająco naturalny i prosty sposób odnalazłem coś, co łączy mnie i super-bohaterów. Nie umiem wprawdzie latać, czy tworzyć sieci, ale... to tylko metafory zmagania się w codziennym życiu z jego prozą i faktami. Wtedy powstał mój pierwszy projekt komiksu. Trafił do szuflady. Przypomniałem sobie o nim, kiedy usłyszałem, że Oskar Pistorius miał problemy z dostaniem się na olimpiadę, bo był lepszy od pełnosprawnych zawodników. Uprzytomniłem sobie, że to nie komiks, nie literacka fikcja. Zacząłem szukać innych...

Nie trzeba długo szukać – świat pełen jest super-bohaterów. O niektórych głośno jest w mediach, inni żyją po sąsiedzku – wystarczy się rozejrzeć.

Aimee Mullins, amerykańska lekkoatletka, aktorka i modelka, nie ma obu nóg, a biega. Niewidomy Stevie Wonder tworzył zachwycającą muzykę. Beethoven, choć stracił słuch, nadal komponował genialne dzieła. Michałowi Chrobakowi brak stóp i dłoni nie przeszkadza, aby trenować narciarstwo alpejskie, a Igor Sikorski zdobywa medale w tej dyscyplinie, choć ma sparaliżowane nogi. Natalia Partyka nie ma ręki, ale zapomnij, że wygrasz z nią w ping-ponga. Michał wybrał kilkunastu spośród tysięcy super-bohaterów i postanowił opowiedzieć o nich po swojemu. Używając fantazji, talentu i jednej sprawnej ręki, stworzył serię plakatów, z których komiksowe postacie przekonywały, że nie trzeba być pełnosprawnym, aby być świetnym. Plakaty z krótkimi biogramami super-bohaterów przedstawił w 2010 roku na dyplomie z projektowania graficznego. Jak się później okazało – pomysł „zarobił” na stypendium Ministra Kultury, przeznaczone na realizację kampanii artystyczno – społecznej pod hasłem „wszyscy jesteśmy super-bohaterami”.

“ Czy jestem szczęśliwy? Tak! Ciężko na to pracuję, bo wiem, że szczęście potrzebuje wyjątkowej uwagi, umiejętności bycia zadowolonym z tego, co jest i szukania możliwości realizacji marzeń.

Wszystkim, którzy chcą spełnić przeznaczenie swojego życia, bez względu na to, czy są sprawni, czy niepełnosprawni, podpowiadam: „odnajdźcie w sobie super-bohatera i pozwólcie mu zaistnieć! ●



11.

JAROSŁAW ROLA

Rycerz Małgosi
i Królowej Śnieżki





Rycerz Małgosi i Królowej Śnieżki

Gdy Jarek pokłonił się Śnieżce, ludzie dziwili się. Niby jak miałby ją zdobyć bez nóg? Nie wierzyli, że zdoła sięgnąć jej korony. Walczył ile sił w rękach i w sercu, i stało się: 16 lipca 2006 Śnieżka uległa. Zdobył królowną.



Poznajcie się: oto królowna Śnieżka – najwyższa w Karkonoszach i całych Sudetach. Ma 1602 metry wzrostu i mniej więcej 300 milionów lat. Oto Jarek, rocznik 1980, sportowiec, konstruktor rowerów i sprzętu narciarskiego. Szczęśliwy mąż Małgosi, tato Gabrysi i Antosia, rycerz Śnieżki.

Gdy miał 17 lat, jego marzenia poraził prąd. Niestety wydarzyło się, gdy wracał z kolegą z ogniska. Chłopcy wpadli w ukrytą w trawie pułapkę uszkodzonej linii wysokiego napięcia uzbrojonej w 20 tysięcy woltów. Jak to się stało, że nie zginęli na miejscu, że z poparzeniami obejmującymi 90 procent ciała udało im się ocaleć?



Może anioł stróż – włóczęga, który zagapił się gdzieś nieopodal na szlaku pod Śnieżką miał w tym swój udział. Może tak właśnie miało być, aby dziś było tak, jak jest...

Lekarze z Siemianowic, gdzie przewieziono straszliwie poranionych chłopców, przygotowywali ich rodziny na najgorsze, ale nie odpuścili pojedynku ze śmiercią. Jarek i Piotr przeszli serię operacji. Musieli znieść potworny ból i oswoić strach przed codziennością, przez którą nie można już iść, ale trzeba jechać na wózku. Ich nóg nie udało się uratować.

Strach topniał powoli dzięki dobrym, mądrym ludziom, takim jak dyrektor liceum w Kamiennej Górze – Kazimierz Galica. Z jego inicjatywy w szkole zniknęły bariery, a Jarek i Piotr mogli zdać maturę. Powrót do nauki nie był jednak lekarstwem na tęsknotę za wiatrem we włosach.

Jarek zdążył stracić nadzieję, że kiedyś jeszcze wróci w góry, gdzie był przed wypadkiem stałym gościem. Myślał, że już nigdy nie wsiądzie na rower, nie skosi białego stoku na nartach. Na szczęście nie przywiązał się mocno do tej myśli.

Nadzieja wróciła wraz z pierwszymi informacjami, do których dotarł w internecie,

a z których wynikało, że do uprawiania narciarstwa nogi wcale nie są potrzebne. Odkrył mono-ski. To narty, a właściwie narta z czymś w rodzaju idealnie dopasowanego do ciała fotela kubełkowego, na który „wsiada” się jak na wózek inwalidzki. Kompletem do narty z „kubełkiem” są kijki wyposażone w płozy. Już dwa lata po wypadku Jarek wrócił na stok, rozpoczął treningi w poznańskim Sportowym Stowarzyszeniu Inwalidów START, a w 2003 roku po raz pierwszy zdobył tytuł Mistrza Polski w narciarstwie alpejskim.



Szybko przekonał się, że nogi nie są potrzebne także do narciarstwa wodnego. Niebawem przyszło jeszcze jedno zdziwienie: nie potrzeba nóg, aby jeździć na rowerze. Od kilku lat próbuje do tego przekonać innych. Europejczyków zamieszkujących na zachód od Polski przekonywać nie trzeba. Oni od dawna doskonale o tym wiedzą i jeżdżą na rowerach bez względu na to, czy mają sprawne nogi czy nie. Dla wielu Polaków to wciąż rzecz niepojęta.

Rower, którym można jeździć używając siły rąk – czyli handbike, był w Polsce sprzętem nieosiągalnym, gdy Jarek znalazł go w sieci. Sprowadzenie sprzętu do kraju okazało się marzeniem bardzo kosztownym, więc postanowił zrobić rower sam.

Na początek taki, którym można było wjechać na leśną ścieżkę i na tąkę. Gdy jego handbike zdał leśny egzamin, konstruktor zapragnął więcej. Latem 2004 roku rozpoczął prace nad pojazdem w wersji górskiej, na którym można byłoby sięgnąć po koronę Śnieżki.

Założenia były dużym wyzwaniem: rower ma umożliwiać pokonywanie stromych podjazdów i zjazdów, poruszanie się po kamieniach i w błocie, czyli wszystko to, co na wózku inwalidzkim jest niewykonalne.

Dwa lata później na szczycie Śnieżki po raz pierwszy powitano wędrowca, który wspiął się tam na kołach. Jarek i jego śliczna żona Małgosia, którą poznał na studiach we Wrocławiu, świętowali odzyskane marzenia o powrocie w góry.

Twórca pierwszego na świecie trzykołowego „górala” wkrótce wyznaczył sobie kolejny cel: Kilimandżaro. Opowiedział o swoim pomysle Annie Dymnej. Zauroczył „szeferwą” Fundacji Mimo Wszystko i z jej wsparciem w 2008 roku dziewięcioosobowa ekipa niepełnosprawnych śmiazków wyruszyła do Afryki, aby zmierzyć się z jej najwyższym szczytem. W zespole był też Piotr – kolega z liceum, towarzysz dramatycznej walki o życie z 1997 roku.

Handbike z Jarkiem w siodle dotarł na wysokość 5100 metrów ponad poziom morza. Pół kilometra przed pierwszym z trzech szczytów góry Jarosław Rola wycofał się



z honorem. Trudności wspinaczki zatrzymały go w drodze na wierzchołek, ale obiecał, że kiedyś wróci do Afryki i ponownie zmierzy się ze swoim wyzwaniem.

“Nie powiedziałem tej górze ostatniego słowa. Ale spieszyc się nie będę. Góra nie ucieknie – mówi.

Ludziom myślącym stereotypowo góry wydają się naturalną barierą dla osób nie mogących chodzić. Jarek docierając w miejsca, w których nie widziano dotąd osób niepełnosprawnych, dał do zrozumienia, że stereotypy trzeba cisnąć w kąt. Startuje i zwycięża jako narciarz alpejski w zawodach rangi Pucharu Świata i na olimpiadach. Założył i prowadzi firmę, która zajmuje się projektowaniem i produkcją sprzętu sportowego dla osób niepełnosprawnych z całego świata. Organizuje szkolenia narciarskie dla tych, którzy chcą skosztować szuszu po śnieżnej bieli, przywraca ludziom nadzieję, że mogą żyć aktywnie, nawet jeśli nie mogą chodzić.

“To, że nie ma się ręki czy nogi, nie jest powodem, aby rezygnować z ciekawego życia. Nie jest to też powodem, aby myśleć, że szczęście jest nieosiągalne – uśmiecha się Jarek. ●



12.

**ANDRZEJ
ŁUKASIK**

O człowieku,
któremu kłaniają
się góry





O człowieku, któremu kłaniają się góry

W jednym ze swoich wierszy Jan Brzechwa spiął rymem słowa układające się w taką oto sentencję: „W walce z górą ten coś wskóra, kto się stanie sam jak góra”. Andrzej dobrze o tym wie. Bolesnie odczuł tę prawdę latem 2014 roku na dwudziestu pięciu kilometrach drogi pnącej się po zboczach masywu górskiego, który trzeba przemierzyć, aby dotrzeć do San Giovanni Rotondo. Miał już wtedy na liczniku ponad półtora tysiąca kilometrów jazdy rowerem przez większe i mniejsze wzniesienia. Andrzej był najbardziej charakterystycznym uczestnikiem 27-osobowej drużyny pielgrzymów wiozących swoje modlitwy z Polski w miejsca wydeptane niegdyś stopami Francesco Forgione, czyli świętego ojca Pio. Jest niepełnosprawny.



Na ostatnim podejździe spod moich okularów płynęły już łzy. Było bardzo ciężko, ale siła przyszła „z Górą” i udało się – wspomina.

Do każdego podjazdu, którego pokonanie trzeba było okupić bólem albo i łzami wymykającymi się ukradkiem spod kontroli i spod okularów, przypisywał intencję. Były więc góry zdobywane za zdrowie dla najbliższych i za pomyślność dla przyjaciół. Te, które najmocniej dały w kość – dedykował swoim przeciwnikom.



Ani jednej góry nie zostawił dla siebie – mówi ojciec Daniel Szafarz, zakonnik – pasjonista, autor i realizator pomysłu na rowerowe pielgrzymki.

Jaką ja intencję mógłbym mieć dla siebie? Przecież dobrze mi w życiu. Jestem szczęśliwy – uśmiecha się Andrzej.

Przyczyną jego niepełnosprawności jest choroba genetyczna. Najbardziej widoczny objaw tej choroby to bardzo niski wzrost. Prawdopodobnie doszło do spontanicznej mutacji jednego z genów, bo w rodzinie Andrzeja wszyscy, prócz niego, dorastali do wysokości mieszczącej się w normie. Gdy Andrzej był małym chłopcem, kości jego nóg i rąk przestały rosnąć. Później pojawiły się problemy ze zwyrodnieniami stawów. Między innymi dlatego polubił rower.



Jest mi łatwiej jeździć na rowerze niż chodzić – tłumaczy.

Nigdy nie dociekałem, dlaczego jestem niepełnosprawny. Jestem jaki jestem i bez względu na to cieszę się życiem, cieszę się ludźmi, których mam wokół siebie – dodaje.

Gdy był dzieckiem, rodzice wszędzie gdzie tylko mogli, szukali szansy ratowania go z niepełnosprawności. Lekarze zaproponowali wydłużanie kości.



Zgodnie z zaleceniem zgłosiliśmy się do szpitala, gdy Andrzej był nastolatkiem. Wytłumaczono nam wtedy, że wydłużanie kończyn wymaga wcześniejszego łamania kości nóg i rąk. Wysłuchał tego wszystkiego i powiedział, że nie chce. Nie zgodził się – opowiada mama Andrzeja.

Zamiast zamartwiać się krótkimi rękami i nogami, na których trudno chodzić, chłopak wziął się do nauki. Dostał się na uczelnię w Stalowej Woli. Wybrał kierunek: rachunkowość i finanse. Wybrał też życiowy cel: pomagać ludziom. Zaangażował się w działalność Klubu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych w Janowie Lubelskim, w organizację wspólnych wypadów na siłownię, sportowych pojedynków w tenisa stołowego, ognisk, spotkań towarzyskich. Przyjął posadę księgowego w Miejskim Ośrodku Sportu i Rekreacji.

W 2014 roku po raz trzeci został radnym Rady Miejskiej Janowa Lubelskiego. Za każdym razem głosowało na niego około 90 procent wyborców.



Lubię ludzi, więc pewnie dlatego oni lubią mnie – mówi.

Losy małego – wielkiego człowieka z wioski Biała Pierwsza, gdzieś pod Janowem Lubelskim są serią sukcesów. Jak on to robi?



Ja jestem zwyczajnym chłopakiem ze wsi. Rodzicom zawdzięczam, że skończyłem szkołę i studia. Przyjaciołom – że czuję się szczęśliwy. Zawsze starałem się brać przykład z mądrzejszych ode mnie i pomagałem słabszym ode mnie. Nikomu niczego nie zazdrościłem i jakoś tak wszystko mi się w życiu układa, że czego zapagnę, to prędzej czy później przychodzi. Rower, samochód, praca, która mnie cieszy, podróże, które są wyzwaniem – tłumaczy Andrzej.





Te wyśnione podróże to chyba robota Pana Boga, który w dobrym momencie posadził przed telewizorem Daniela. Młody zakonnik (rocznik 1982) pochodzi z Podkarpacia, kocha góry i wyzwania, a szczególnie te wymagające pokonywania słabości. Wyzwaniem w rowerowych pielgrzymkach, które dzieją się za jego sprawą, jest nie tylko pokonywanie ograniczeń związanych ze zmęczeniem i bólem, ale – co równie ważne – stworzenie takich relacji w grupie pielgrzymów, aby Bóg między ludźmi mógł czuć się dobrze, aby mógł być z nich dumny.

W styczniu 2013 roku w lokalnej lubelskiej telewizji ukazał się reportaż z Andrzejem w roli głównej. Wyznał wówczas przed kamerą, że marzy, aby pojechać na rowerze do Watykanu. Niedługo później zadzwonił telefon. Usłyszał w słuchawce głos zakonnika z warszawskiej parafii Pasjonistów przy ulicy Ostródzkiej, który mówił, że marzenia się spełniają i zapraszał na wyprawę.

Latem tego samego roku drużyna pielgrzymów skrzykniętych przez duchownego wyruszyła w drogę z Warszawy do Isola del Gran Sasso w Italii. Celem cyklistów było sanktuarium św. Gabriela od Matki Bożej Bolesnej, oddalone od miejsca startu o 1900 kilometrów. Z tego miejsca mogli już busami przejechać do Piotrowej Stolicy.

Nawiązali podczas wyprawy tak serdeczne przyjaźnie, że po roku, niemal w tym samym składzie, znów wsiedli na rowery i ponownie wzięli kurs na południe.

Choć Andrzej ma specjalnie skonstruowany, dopasowany do swoich możliwości jednoślada, nie był do końca pewien, czy podoła trudom eskapady trudniejszej niż poprzednia – watykańska. W pokonanie dowolnego dystansu musiałby włożyć dużo więcej wysiłku niż sprawni cykliści, a trzeba przecież przejechać około stu kilometrów dziennie. Czasem „dniówka” jest jeszcze dłuższa, a trasa – jak to w Alpach – pnie się pod górę. Andrzej jest zbyt waleczny, aby godzić się na taryfę ulgową. Byłoby mu źle z myślą, że opóźnia pielgrzymkę.

“*Był moment, gdy miałem ochotę zatrzymać się, rzucić rower w przydrożny rów i zrezygnować z dalszej drogi. Ale patrzę: zdrowi ledwie dają radę, więc nie jest ze mną tak źle. Pojawiła się moc i myśl: hej Alpy, ja Wam pokażę!* – wspomina.

Dał więc z siebie wszystko. Mierząc się z górą, która wycisnęła z jego oczu łzy, sam stał się jak góra. Dotarł na swoim rowerze do San Giovanni Rotondo. Są powody, aby podejrzewać, że na ostatnim, morderczym podejździe Bóg Ojciec już nie tylko przyglądał się, ale też dokładał co nieco swojej wszechmocy do obrotów kół Andrzeja-jowego bicykla. Znając intencję niepozornego rowerzysty o wielkim sercu, nie mógłby przecież tylko i wyłącznie patrzeć.

Na nudę w życiu Andrzeja nie ma czasu. Dbą o to, aby trzymać formę – systematycznie trenuje grę w ping-ponga. Niewielu jest takich – nawet wśród młodzieniaszków – którzy mogą pochwalić się wygranym meczem z Andrzejem. Gdy tylko aura pozwala, przesiada się z samochodu na rower i trenuje. Gdy znów zadzwoni ojciec Daniel, chce być gotowy na spełnianie kolejnych marzeń i na wozienie pod górę następnych intencji. ●



13.

**ZBYSZEK
WYGANOWSKI**

Facet na
medal





Facet na medal

Z fotografii patrzy facet na medal: wysportowany, silny, odważny, pewny siebie warszawiak, mistrz szermierki – Zbyszek. Portrecista Andrzej Wiktor, autor zdjęcia do kalendarza, z którego pochodzi wymowny, czarno-biały obraz, miał dosyć łatwe zadanie: Zbyszek Wyganowski (rocznik 1988) taki właśnie jest, choć sam skromnie prostuje, że facet z kalendarza jest zbyt poważny, zbyt groźny. – Taki, który może prosić o wszystko i wszystko dostanie. A ja przecież jestem z krainy łagodności. Taki... zwyczajny - mówi.

Jego przyjaciele dopowiadają jeszcze, że jest serdeczny, inteligentny, ma fantastyczne poczucie humoru, oraz że fotograf doskonale uwiecznił Zbyszkową siłę. Całokształt – marzenie każdej kobiety! Nie ma najmniejszego znaczenia, że Zbyszek nie chodzi.

Chłopak, który charakterem przypomina książkowo - filmowego „małego rycerza” – Michała Wołodyjowskiego - niewiele pamięta z wczesnego dzieciństwa, gdy jeszcze chodził. To, co go spotkało, może zdarzyć się każdemu dziecku i każdemu dorosłemu: naczyniak na rdzeniu kręgowym. Mniej więcej każdy wie, jak wyglądają konsekwencje wylewu krwi do mózgu. Wylew krwi do rdzenia kręgowego oszczędza wprawdzie „centrum dowodzenia organizmem”, ale odbiera władzę nad częścią ciała. Zbyszkowi odebrał bieganie, chodzenie, skakanie, ale nie odebrał radości życia.

“ Gdyby tak się nie stało, pewnie nie trenowałbym szermierki. Być może nie uprawiałbym w ogóle sportu, gdybym nie usiadł na wózku. Wcześniej, jak każdy dzieciak, biegałem z chłopakami po podwórku. Teraz jeżdżę na zawody, a na półkach przybywa pucharów – mówi.

Zaczął trenować dzięki rodzicom. Znaleźli dla niego Integracyjny Klub Sportowy IKS na warszawskim AWF i zaczęli wozić go na treningi, aby nie miał czasu siedzieć w domu i płakać nad sobą. Wychowali medalistę. Pierwsze poważne sukcesy odniósł



na Mistrzostwach Europy w 2005 roku w Madrycie: pomógł wywalczyć srebro drużynie florecistów a sam zdobył brąz w potyczce na szable. Dwa lata później drużyna florecistów, ze Zbyszkciem w składzie zdobyła złoto. W Pucharze Świata w Montrealu wywalczył pierwsze miejsce we florecie, w 2010 roku w niemieckim Malchow zdobył brąz, a w 2014 w Egerze, znów sięgnął po złoty medal. Nazwisko Zbyszka widnieje w pierwszej dziesiątce światowego rankingu florecistów.

Olimpijczyk z Pekinu w 2008 i Londynu w 2012 roku, mistrz szermierki, z uśmiechem mówi, że od czasów swoich pierwszych sukcesów sportowych wypokojniał.

 *Ten sport kształtuje charakter. To takie szachy, tylko w szybkim tempie. Wymagają otwartego umysłu, sprytu, opanowania i właśnie spokoju – śmieje się.*

Wózek nigdy nie przeszkodził mu w kontaktach z przyjaciółmi, w życiu towarzyskim, w spełnianiu marzeń.



Myszę, że to zależy od nas samych. Ja nigdy nie miałem problemów z nawiązywaniem kontaktów. Bardzo miłe wspomnienia mam z gimnazjum, cudowne wręcz - z liceum, do dziś przetrwała przyjaźń z kolegą z podstawówki – Arturem... To chyba norma, że gdy ktoś otwiera się przed ludźmi, gdy zamiast smutku wnosi w ich życie radość, odwdzięczają się tym samym – tłumaczy.

Prócz treningów kształtujących jego talent i charakter, jest jeszcze jedno wyzwanie, do którego podszedł po „sportowemu”: chodzi o kształtowanie świadomości ludzi. Jeździ do nich, szczególnie do dzieci i młodzieży, wraz z przyjaciółmi, aby pokazać sport w nieco innej odświeżeniu i uświadomić, że niepełnosprawność nie ma nic wspólnego z niezaradnością.



Odwiedzamy przede wszystkim szkoły z pokazami walki na szpady. Zapraszamy do pojedynków dzieciaki. Niech zobaczą, że my, „kulawi”, jesteśmy tacy sami jak osoby pełnosprawne i również możemy być fajni. A co, nie możemy? „Design” towarzyszący niepełnosprawnym, czyli wózek inwalidzki, kule, protezy – to wszystko prowadzi do błędnych skojarzeń. Wystarczy sprzątnąć te „dodatki” sprzed oczu, a stajemy się całkiem zwyczajni, prawda? – uświadamia Zbyszek Wyganowski.



Jak mówi: bez zbędnej przesady – jest zadowolony z życia. Tak po prostu, normalnie. Nie za dużo szczęśliwy i nie za mało szczęśliwy. Ma marzenia. Jedno bardzo ambitne: zdobyć medal na paraolimpiadzie w Rio, a może też na kolejnych... Drugie, całkiem zwyczajne: założyć rodzinę i móc spokojnie, na przyzwoitym poziomie żyć, samodzielnie zarabiając na utrzymanie najbliższych. Samo bycie mistrzem olimpijskim w przypadku niepełnosprawnych sportowców niestety nie wystarczy, aby zapewnić sobie spokojną przyszłość.

Zbyszek pracuje – w tym samym klubie sportowym, w którym trenuje. Ma nadzieję, że za pracuje na spełnienie tego zwyczajnego marzenia. Z wózkiem żyje w zgodzie. Nie śledzi nowinek ze świata medycyny, które prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości przybiorą formę okrzyku zwycięstwa towarzyszącym rozwiązaniu zagadki ludzkich neuronów, gdy wreszcie uda się je „skleić” i zmusić do współpracy po chorobowych, czy urazowych nieśczęściach.

Jego neurony dostały podwójny strzał: po „wylewie” naczyniaka jeszcze próbował chodzić o kulach. Nie wytrzymał jednak trzon kręgu, który złamał się i ponownie uszkodził rdzeń.



Życie na wózku nie przeszkadza mi. Nie ogranicza. Może jednak zostawię wyzwanie leczenia młodszemu ode mnie - uśmiecha się.



Zapytany o bariery, o których tyle mówi się i pisze, próbuje szukać w pamięci...

“ Poza architektonicznymi... Mam nadzieję, że one kiedyś znikną... Nie widzę większego problemu z innymi barierami. Na szczęście komunikacja miejska w warszawskim wydaniu jest przyjazna. Barierą bywa zima, gdy znacznie trudniej jest aktywnie żyć, będąc na wózku – dlatego zapadam w zimowy sen. Na szczęście nie do końca, bo przyjaciół mam blisko, zaspasy nas nie rozdzielią – kwituje. ●



14.

**ANNA
KRUPA**

Anioł
z Piekielnika





Anioł z Piekielnika

Anna Dymna spytała kiedyś Anię Krupę, co wybrałaby: milion złotych, czy ręce. Wybór nie był trudny dla góralki z Piekielnika: milion. Dlaczego? Bo urodziła się bez rąk i wszystko potrafi robić stopami. Pisać, wyszywać, gotować, prasować, prowadzić samochód, nawet powiesić firanki. A milion przydałby się, żeby rozwiązać trochę problemów.



Jedna z sąsiadek dziwiła się, dlaczego moja mama nie zostawiła mnie w szpitalu. Dziś ta sama sąsiadka przychodzi do mnie z prośbą, żebym ją gdzieś podwoziła autem – mówi Anka.

Skończyła studia – zarządzanie biznesem, bibliotekoznawstwo, oligofrenopedagogikę. Sama wychowuje córkę.



Emilka to najcudowniejsze, co mnie w życiu spotkało – uśmiecha się.

Pielęgniarki w szpitalu nie mogły się nadziwić, widząc młodą mamę przewijającą niemowlę stopami. Małeństwo od pierwszych chwil życia uczyło się, że w inności nie ma nic dziwnego. Próbowano nawet, jak mama, chwycić zabawki w stópki. Wyrosło na śliczną, mądrą dziewczynkę. Gdy Emi miała cztery latka, spytała mamę czemu nie ma rąk.



Wymyśliłam wtedy taką bajkę: Pan Bóg w niebie lepi każdego człowieka. Potem anioły pakują go do pudełka i wysyłają na Ziemię. Mamusię pakował roztrzepany anioł, który wybrał zbyt małe pudełeczko i gdy mnie do niego wkładał, rączki odpadły. No i taką mnie wysłał na Ziemię – uśmiecha się Anna.

Sama nigdy nie próbowała dociekać czemu urodziła się inna.

Od takiego dociekania ręce mi przecież nie urosną – żartuje.

Mama Emilki jest bibliotekarką w integracyjnej szkole w Czerwiennem. Jako nastolatka marzyła, aby być tak dobrą nauczycielką, jak jej ulubiona książkowa bohaterka – Ania z Zielonego Wzgórza. Uśmiechnięte buzie dzieciaków, którym dedykuje swoją zawodową codzienność mówią wszystko: marzenie Anki z Piekielnika spełniło się.



W szkole w Czerwiennem niepełnosprawność jest czymś naturalnym. Tu nie dzieli się ani uczniów, ani nauczycieli na zdrowych i na inwalidów. Każdy jest w czymś najlepszy, od każdego inni mogą się czegoś nauczyć. W holu budynku umieszczono tablicę ze słowami Jana Pawła II: „Społeczeństwo, w którym byłoby miejsce tylko dla osób pełnosprawnych, całkowicie samodzielnych i niezależnych, nie byłoby społeczeństwem godnym człowieka”. Gdyby każdy wziął sobie te słowa do serca, świat wyglądałby zupełnie inaczej.

Anka, choć niepełnosprawna, jest samodzielną.



To przede wszystkim zasługa mojej mamy. Pozwoliła mi rozwijać się, nie trzymając mnie pod kloszem – mówi.

Często ludzie niepełnosprawni, którzy wychowywali się w małych miejscowościach, jako dorośli chcą uciekać do dużych miast – bo tam łatwiej żyć. Więcej jest miejsc przyjaznych, więcej ludzi, których inność nie dziwi. Ona nie chce uciekać.



Mam szczęście mieszkać wśród takich ludzi, z którymi jest mi dobrze. Zaakceptowali mnie i polubili taką, jaką jestem. W Piekelniku mieszkają serdeczni ludzie po prostu – uśmiecha się góralka.



Były w jej życiu spotkania i słowa, które zabrały, ale wie, że rozpamiętywać ich nie ma sensu. Nauczyła się na niemądre słowa mądrze odpowiadać. Gdy kiedyś w autobusie jedna z pasażerek, przejęta widokiem dziewczyny bez rąk, wyraziła swój żal słowami „Pani to jest biedna, bo się nawet powiesić nie może...”. Ania spokojnie wyjaśniła, że Bóg nie po to dał jej życie, żeby je sobie odbierała.

Żyje więc na pełnych obrotach i spełnia marzenia. Bardzo chciała być nauczycielką – stało się. Zapragnęła być dobrą mamą – spełnione. W programie Anny Dymnej „Spotkajmy się” przyznała się do marzenia, które w jej sytuacji mogłoby wydawać się nierealne: choć raz skoczyć ze spadochronem. Nie trzeba było długo czekać: jeden z widzów programu - skoczek - zaproponował wspólną przygodę. Anka wsiadła do samolotu, a później pochręła z wysokości 4 tysięcy metrów w tandemie. Teraz już





jest zupełnie pewna, że nie ma rzeczy niemożliwych. Próbuje przekonać do tego innych.



Kluczem do samodzielnego życia nie są ręce ani nogi, tylko sprawnie działająca głowa, od której wszystko się zaczyna. Wiele zależy też od tego, ile miłości dostaliśmy na starcie. Mama od najmłodszych lat tłumaczyła mi, że jestem taka sama jak inne dzieci, a to, że nie mam rąk, nie oznacza, że jestem gorsza. Po prostu mam trudniej niż inni. I ona mnie do tych trudów przygotowała – wspomina Ania.

W 2013 roku w gościnnym domu w Małym Cichem, doszło do wyjątkowego spotkania. Przy stole zasiedli wspólnie Staszek Kmieć – malarz bez rąk, Anka Krupa – nauczycielka bez rąk i Staś Salach – mały chłopczyk bez rączek. „Sprawczynią” tego miłego zamieszania była Monika – żona dużego Staszka, która pomyślała, że mały Staś powinien poznać jak najwięcej ludzi podobnych do niego. Ania przyjechała ze swoją Emilką, z aniołkiem dla małego Stasia i ze słowami otuchy dla rodziców małego. Niech wiedzą, że brak rąk to nie jest żadna przeszkoda do szczęścia. Zawsze lubiła być potrzebna, lubiła pomagać. Stasio i ciocia Ania polubili się od pierwszego wejrzenia. ●

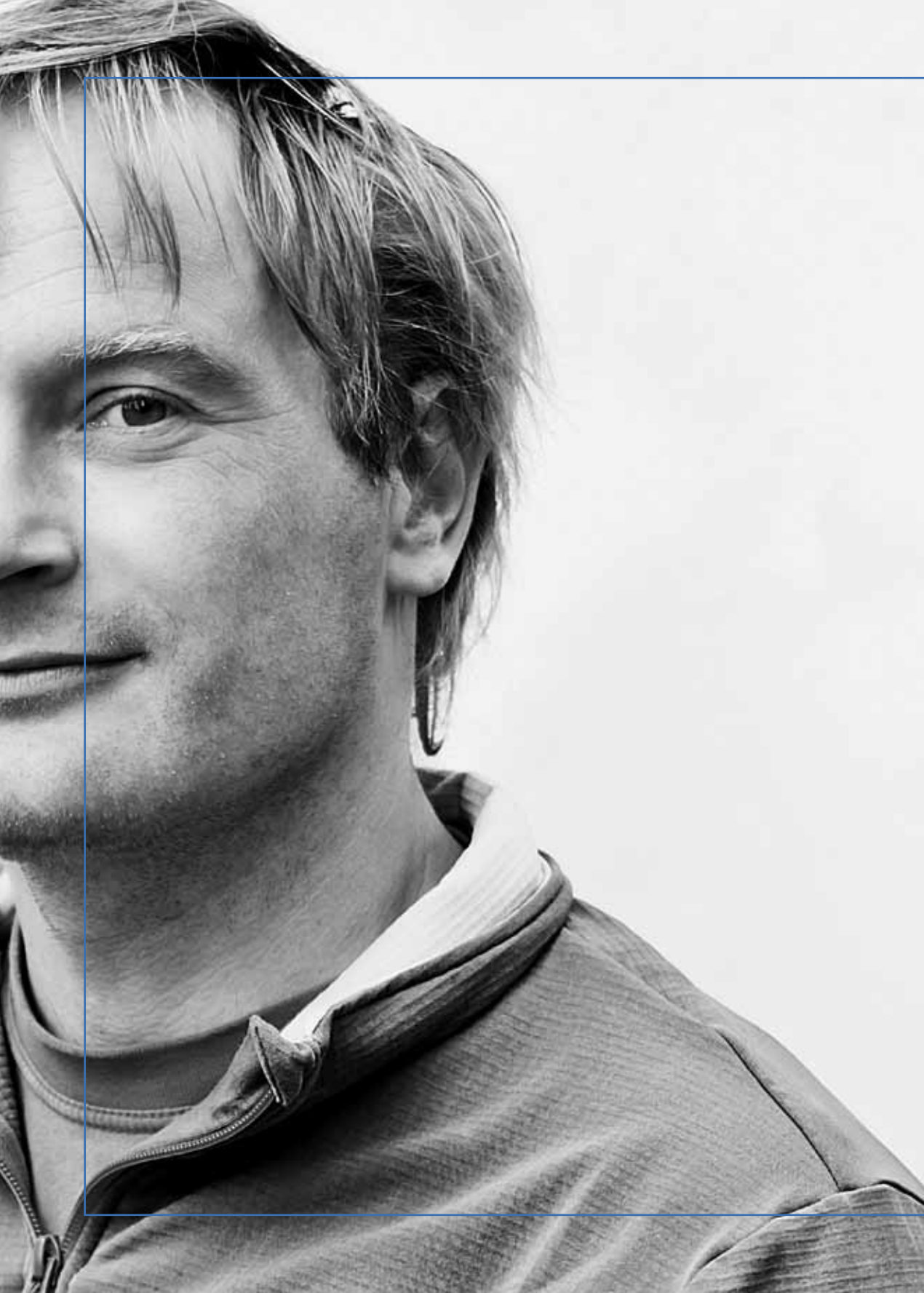


15.

**MAGDA
KOTLARZ,
ARTUR
KAMIEŃSKI**

Orły, które dają
mi **skrzydła**





Orły, które dają mi skrzydła

Mniej więcej wiek temu ktoś zaczął budować w Nowym Sączu dom. Miał zdrowe, silne ręce, marzenia i kawałek ziemi, na której można było je spełniać. Prace przerwała wojna. Budowę można było skończyć dopiero wtedy, gdy ucichły strzały. W cudnym miejscu na Ziemi wyrosła niebiedna – niebogata chałupa, która miała szczęście do gospodarzy. W powojennym półwieczu zamieszkał w niej Augustyn, żołnierz 51 Pułku Piechoty Strzelców Kresowych w Brzeżanach, pasjonat gospodarskiego majsterkowania, dzielny, dobry człowiek. W pierwszym półwieczu XXI wieku do domu wprowadził się Artur, mąż wnuczki Augustyna, czyli mój mąż. Artur dostał od Boga talent, dzięki któremu umie pięknie odmieniać przestrzeń: projektować, budować, urządzać, czynić ją ładniejszą i wygodniejszą. Od kiedy zamieszkał w Nowym Sączu, po domu widać było, że z roku na rok jest szczęśliwszy. Prace przerwała elektryczna cisza.

Człowiek to genialnie zaprojektowana maszyna, pełna „elektryczności”. Impulsy elektryczne biegną z mózgu do wszystkich komórek ciała. Nawet podczas snu, w każdej sekundzie wędruje z głowy 50 milionów impulsów o mocy mniej więcej równoważnej z energią potrzebną do zasilenia dziesięciowatowej żarówki. Elektryczne polecenie wychodzące z głowy dociera do rąk i sprawia, że możesz przytulić kogoś, kogo kochasz, uścisnąć dłoń na powitanie, wystrugać z kawałka drzewa łódkę. Seria impulsów wysłanych do nóg pozwala chodzić, biegać, tańczyć. W drugą stronę także biegnie do „centrum dowodzenia” sygnał. Impuls w tym kierunku pozwala czuć pod stopami ciepło nagrzanego słońcem piasku, albo pod dłońią kopniak dzieciaka, który wierci się w brzuchu swojej mamy. Jeśli uszkodzony zostanie przewód, którym biegną w obu kierunkach impulsy elektryczne, w zależności od tego, w którym miejscu nastąpi awaria, mogą przestać działać dłonie, albo całe ręce, a przy okazji inne „podzespoły”, które pracują wewnątrz organizmu. Czasem – jak u Artura – wyłączają się nogi.



W marcu 2012 roku spadł, właściwie bardziej skoczył niż spadł, z konaru drzewa. Przycinał gałęzie. Dwa metry dzielące stopy od ziemi wystarczyły, aby jeden z kręgów osłaniających główny „przewód elektryczny” biegnący wewnątrz kręgosłupa wyskoczył ze swojego miejsca i ucisnął wiązki neuronów przesyłające informacje na tym odcinku, który zaopatruje w energię nogi. Poniżej kręgów oznaczonych symbolem Th 11 i Th 12 zapanowała elektryczna cisza. Tylko jeden segment niżej – we fragmencie oznaczonym symbolem L1 – kończy się rdzeń kręgowy.

Miesiąc wcześniej na narciarskim stoku zepsułam sobie kolano. Zerwane więzadła uzależniły mnie od kul. Wiosną 2012 ledwie chodziłam. Kilka dni przed wypadkiem Artura denerwowałam się, że nie mam przyzwoitego zgięcia w stawie i nie mogę wsiąść na rower. Nagle uświadomiłam sobie że najukochańszy mężczyzna, którego niepokorna dusza to potężny akumulator energii, dobrze wie, że przez kilka, kilkanaście lat, a może dłużej, nie będzie mógł samodzielnie postawić nawet kilku kroków. Przeraziłam się. Jak on się z tym zmierzy? Jak dla mnie – mógłby nie chodzić do końca życia. Bez względu na to, czy ma sprawne nogi czy nie, jest przecież najcudowniejszym facetem we wszechświecie. Wiem jednak, jak ważny w jego życiu jest ruch. Będzie ciężko – myślałam.

Zmierzył się ze wszystkim w pięknym stylu. Zaimponował mi jak nigdy dotąd.

Nogi musiały zastąpić koła. To, co było dotąd banalnie proste, dzięki możliwości korzystania z drabiny czy schodów, stało się trudne. Ale trudne nie oznacza, że niemożliwe. Można położyć podłogę, siedząc po turecku. Można, zamiast drabiny, postawić taką konstrukcję, na której stanie Arturowy „wóz” albo pionizator i pracować pod samym sufitem. Koła, które muszą zastępować nogi, nie przeszkodziły w zaprojektowaniu i urządzeniu kuchni, łazienki, w ociepleniu elewacji, w budowie ogrodowego kominka. W kolejce czeka poddasze i winda, która pozwoli prędko dostać się do piwnicy i na piętro. Kreatywność mojego męża w obmyślaniu sposobów, jak zrobić wszystko, co bez użycia nóg wydaje się sprawnym ludziom niemożliwe, zasługuje na podziw dziadka Gustka, który pewnie z lepszego świata przygląda się wyczynom Artura. Byli-by przyjaciółmi, gdyby tutaj był...

Jeśli jakaś praca wymaga sięgania wyżej niż Artur może sięgnąć, pomaga syn – Konrad, czasem sąsiad, czasem przyjaciele. Po naszym domu nadal widać, że jest domem szczęśliwym. Pięknieje.

Żeby być świetnym kierowcą, także nie trzeba chodzić. Artur za kierownicą dostaje skrzydeł. Od kiedy po raz pierwszy usiadł w aucie będąc nastoletnim chłopakiem, było już wiadomo, że to jego żywioł. Tylko jedno zmieniło się od czasów, gdy chodził: nie może trzymać obu rąk na kierownicy, bo jedna potrzebna jest do obsługi ręcznego gazu i hamulca. Gdy pod kołami jest trudny teren, albo w perspektywie długa trasa, nikt nie poradzi sobie lepiej od niego. Jedynym godnym zmiennikiem mogłaby być tylko Magda. Jej też wyrastają skrzydła, gdy odpala silnik...



7 grudnia 2002 roku Magda usiadła na fotelu pasażera w samochodzie, którego kierowca jechał odrobinę zbyt szybko na zbyt śliskiej jezdni. Przed podróżą nie zapięła pasów. O życiu lub śmierci człowieka niezabezpieczonego pasami w samochodzie, który wpada w poślizg i uderza w jakąkolwiek przeszkodę, decyduje tylko Anioł Stróż. Wszystko rozgrywa się w ułamkach sekund, bez czasu na reakcję. Rządzą prawa fizyki. Gdy samochód zatrzymuje się na przeszkodzie, człowiek nadal „leci” do przodu. Jest to lot z prędkością auta przed zderzeniem. Pomyśl: lecisz z prędkością 50, może 60 kilometrów na godzinę, rozbijasz sobą szybko, uderzasz o ziemię. Jakie masz szanse, biedaku?

Siła bezwładności wyrzuciła Magdę z samochodu. Na rękach do dziś pozostały ślady „szorowania” po poboczu jezdni, a na plecach – blizna po operacji kręgosłupa, którego kości roztrzaskały się w tym samym miejscu, w którym przemieściły się u Artura. Śliczna, młodzieńcza dziewczyna, mama kilkuletniego wówczas dziecka, obudziła się w szpitalu, gdzie uratowano jej życie. Przerwanej ciągłości „elektryki” rdzenia kręgowego nie udało się przywrócić. Nogi musiały zastąpić koła.

Jak dziś mówi Magda – wypadek zmienił jej życie, ale niekoniecznie na gorsze. Przekornie postanowiła udowodnić wszystkim, którzy próbowali licytować się i spisać

na straty jej marzenia, że aby pięknie żyć, nie trzeba być okazem zdrowia. Doceniła refleks Anioła Stróża i bez rozczulania się nad sobą zaczęła dążyć do celów, które precyzyjnie określiła. Wychowała syna, skończyła dwa kierunki studiów, przymierza się do doktoratu, bardzo ciężko pracuje w zawodzie, który daje jej radość. Dużo podróżuje i jest świetnym kierowcą.

Poznałam Magdę kilka lat po jej wypadku i kilka lat przed wypadkiem Artura. Dzięki niej wiedziałam odpowiednio wcześniej, że po szczęście niekoniecznie trzeba iść na własnych nogach. Dzięki niej łatwiej było przekonać się o tym Arturowi. Przyjechała do niego, gdy leżał w szpitalu. Uśmiechnięta, śliczna jak zawsze i jak zawsze gotowa, aby pomóc. Pokazała jak do niepełnosprawności podejść z fantastycznym dystansem, z poczuciem humoru, jak oswoić ją do tego stopnia, że można o niej czasem zapomnieć. Całą sobą dała dowód na to, że słabość fragmentu ciała może iść w parze z siłą, której mogą pozazdrościć zdrowi.

Jestem szczęściarą, bo mam obok siebie codziennie fantastycznego mężczyznę, dobre dziecko, dom nieobciążony kredytem we frankach, kawałek ogródka, w którym rośnie mięta i tymianek, i kilku przyjaciół, do których mogę zapukać o każdej porze, między innymi Magdę.

Jestem szczęściarą, bo nawet jeśli nie mogę kupić sobie wszystkich książek, które chciałabym przeczytać, mogę je pożyczyć. Jestem szczęściarą, bo nawet jeśli





nie mogę pojechać w podróż dookoła świata, mogę objechać dookoła Polskę, a jeśli uruchomię wolne moce przerobowe szarych komórek, pewnie da się tak zrobić, aby kiedyś objechać dookoła Europę.

Dobry Bóg pozwolił mi przeżyć mnóstwo szczęść i trochę trosk, dzięki którym jestem silniejsza i mądrzejsza. Codziennie przez moje myśli przewija się słowo: dziękuję. Za to, że mam to, co mam.

Szczęściarzem jest też Artur, bo szczęście nie zależy od tego, czy można zdzierać podeszwy butów, czy nie. Ma zdrowe serce, ręce, oczy, ma talenty, całkiem fajną żonę, dobre dziecko, dom nieobciążony kredytem we frankach, kawałek ogródka, co kilka tygodni ma zapas nowych książek wypożyczonych z biblioteki do przeczytania i auto, którym może można będzie kiedyś objechać wkoło Polskę, a może nawet Europę.

Nie jest to tak, że nie brakuje nam wspólnego chodzenia po lesie i zachwyków na tatrzańskich ścieżkach. Brakuje. Ale gdyby każda tęsknota miała czynić człowieka nie-szczęśliwym, Ziemia byłaby planetą samych smutnych stworzeń.

Tęsknoty i marzenia są po to, żeby oczekiwać na ich spełnienie i w miarę możliwości pomagać im się spełniać, a sposób podejścia do tęsknot i marzeń dzieli ludzi na szczęściarzy i na męczenników z wyboru. Pierwsi, goniąc marzenia cieszą się wszystkim, co dobrego przynosi im codzienność. Drudzy nie cieszą się niczym, bo najważniejsze jest dla nich to, że czegoś im brak. Brak przestania wszystko, czyli coś, czego nie ma, przestania coś, co jest.

Będzie cudownie jeśli Artur i Magda będą kiedyś znów mogli chodzić. Ufam ludziom rozwiązującym zagadki neurobiologii, którzy nad tym pracują, ufam w siłę moich „Orłów”. Mają tej siły tyle, jak stąd do samego nieba. Nie czekamy jednak na dzień, w którym samodzielnie pójda zdzierać podeszwy, zamartwiając się, że być może trzeba jeszcze długo czekać. Móc chodzić to piękna rzecz, ale na szczęście nie jest to rzecz kluczowa. Jesteśmy szczęściarzami, bo wszyscy troje wiemy, że móc jeździć, to też fajna rzecz. Móc być i cieszyć się tym, to rzecz genialna. ●

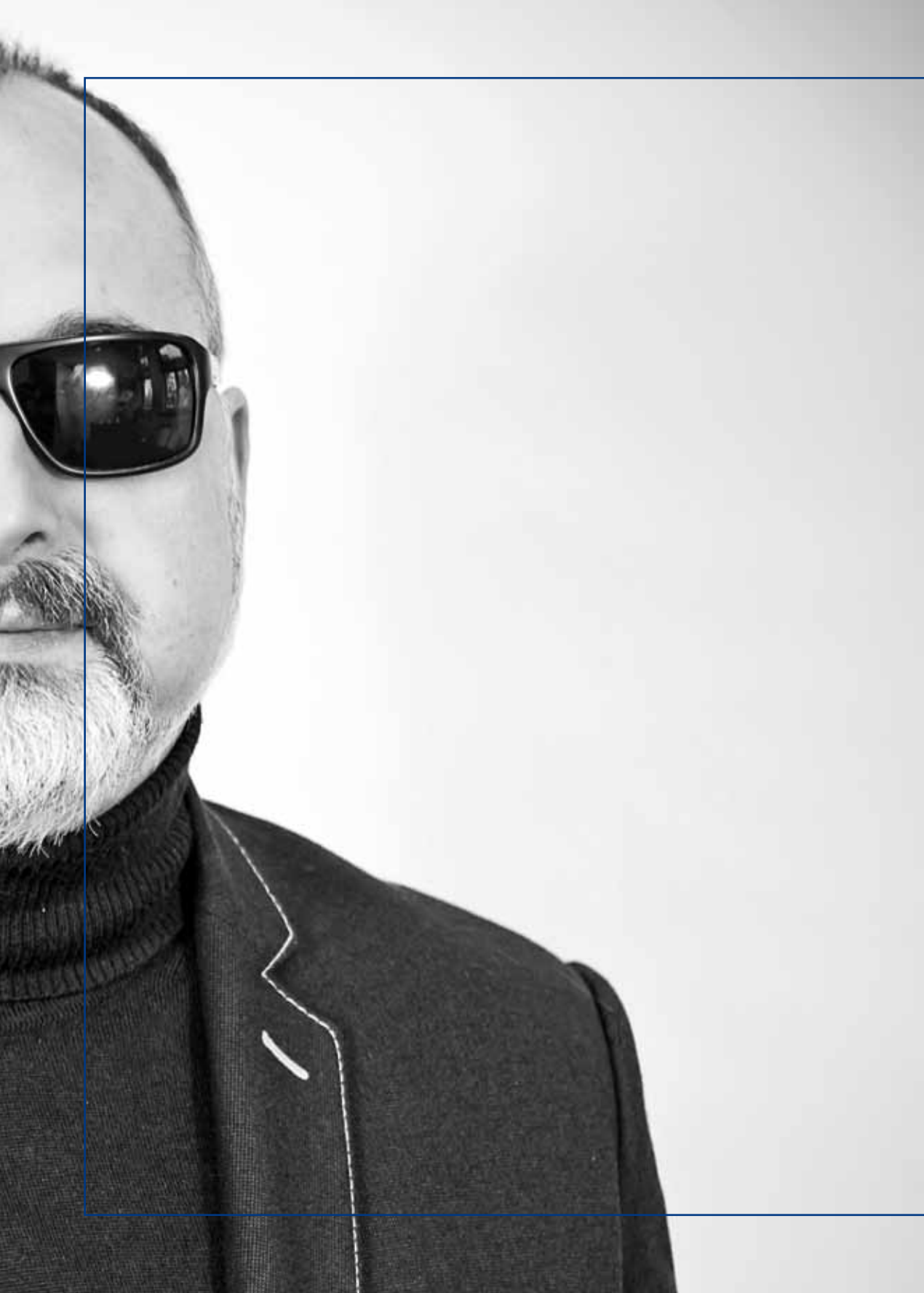


16.

**ANDRZEJ
GÓŹDŹ**

Szczęście
ciemności
się nie boi





Szczęście ciemności się nie boi

Chłopaki lubią zabawy z hukiem – fajerwerki i petardy. Andrzej też chciał przeżyć wystrzałową przygodę. W Starachowicach, gdzie spędził dzieciństwo, nieopodal stacji kolejowej składowano karbid, którego kolejarze niegdyś używali do obsługiwanie lamp sygnałowych. Karbid w reakcji z wodą wydzielą mocno wybuchowy gaz – acetylen. Dla łobuziaków ze Starachowic ta wiedza (wcale nie tak tajemna, jakby dorośli mogli się tego spodziewać) stała się pokusą do eksperymentów. Andrzej miał dziesięć lat, gdy wybrał się z kolegami na wystrzałową wyprawę. Pierwsza petarda wodno-karbidowa wybuchła mu prosto w oczy.

Przez jakiś czas jeszcze trochę widział, szczególnie w ciągu dnia. Nocą rozpoznawał światło. Z czasem kształty coraz bardziej zlewały się z tłem. Ówczesni okuliści nie potrafili poradzić sobie ze skutkami pourazowej jaskry. Andrzej powoli tracił wzrok. Po 12 latach od wypadku poddał się kolejnej operacji, która początkowo przyniosła pozytywne efekty, lecz po pół roku od niej światło ostatecznie dla niego zgasło.

Jedna chwila niebezpiecznej zabawy na zawsze i nieodwracalnie zmieniła życie Andrzeja. W ośrodku dla niewidomych w Laskach od nowa uczył się chodzić, pisać i czytać teksty pisane brajlem. Nauczył się korzystać z talentów, które pozostawały w ukryciu, w czasie, gdy przesłaniały je światła i barwy świata. Te talenty to pamięć i wyobraźnię. Skończył liceum powszechne w Lublinie, a później podjął decyzję o rozpoczęciu studiów prawniczych na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. W prawniczej edukacji pomocna okazała się szczególnie „symbioza” z przyjaciółmi. Czytali na głos książki i nagrywali je, tworząc dla Andrzeja koleżeńskie audiobooki. Oni utrwalali w ten sposób wiedzę, a on mógł się uczyć wielokrotnie przestuchując taśmy. Prawo okazało się pasją Andrzeja, a dzięki sprawnej pamięci osiągnął wyniki, z którymi mógł ubiegać się o miejsce na aplikacji adwokackiej.

Kiedy starał się o przyjęcie do Palestry (a było to w latach 80.), wiele osób z niedowierzaniem przyjmowało jego plany. Pomimo bardzo dobrze zdanego egzaminu

wstępnego, trzykrotnie odmawiano mu wpisu na listę aplikantów. Nie wyobrażano sobie osoby niewidomej w roli adwokata. Ostatecznie, dzięki ówczesnej Pani Prezes Naczelnej Rady Adwokackiej – Marii Budzanowskiej, Andrzej został wpisany na listę aplikantów i otrzymał szansę udowodnienia, że jego odmiennosc nie jest przeszkodą w skutecznej pracy adwokata.

W 1990 roku zdał egzamin kończący aplikację i mógł rozpocząć samodzielną pracę, w której nadal realizuje swoje zainteresowania. W swej karierze zawodowej stawiał kilkakrotnie przed Sądem Najwyższym i Trybunałem Konstytucyjnym. Efektem jednej z jego skarg, w sprawie SK 18/00, było uchylenie art. 418 kodeksu cywilnego, który wcześniej był istotną barierą w dochodzeniu przez obywateli odszkodowań za bezprawne działanie urzędników publicznych.

Klienci, przeciwnicy procesowi i przypadkowo spotkani ludzie nieprędko orientują się, że mecenas Andrzej Góźdz nie widzi. Niektórzy nie orientują się wcale. Bywa też że ludzie, którym Andrzej otwarcie mówi o swojej niepełnosprawności, nie wierzą. Tak jak pewien taksówkarz, gdy okazało się, że jego pasażer doskonale wie jaką trasą kierowca powinien go wieźć.



„Pan oszukuje! Pan wcale nie jest niewidomy!” – usłyszałem od niego – śmieje się Andrzej.

Jestem w pewnym sensie ofiarą skutecznej rehabilitacji, bo ludzie, którzy mnie znają, już nawet nie próbują pomagać. Doskonale wiedzą, że sobie poradzę – dodaje.

Widzącym trudno wyobrazić sobie, że można „zobaczyć” świat za pomocą dźwięków. Każdy odgłos odbija się od ścian budynków, od wszystkiego, co składa się na otaczającą nas przestrzeń i dociera przez narząd słuchu do mózgu. Mózg zaś potrafi dzięki głosom odwzorować bardzo dokładny „obraz” przestrzeni. Z takiego precyzyjnego biologicznego „sonaru” korzystają nietoperze i delfiny. Mógłby korzystać również człowiek, gdyby zechciał trenować echolokację.

Ludzie, którzy mają zdrowe oczy przeważnie nie wiedzą, że natura wyposaża ich w echosondę. Jeśli tracą wzrok, pojawia się potrzeba zrekompensowania straty. Najpierw wyostrza się słuch. Później niewidomi uczą się „słuchać” otoczenia i gdy trzeba – „rozmawiać” z nim. Wydają dźwięki, nasłuchują jak dźwięki rozchodzą się, jak wracają do nich echem.



Tak. Posługuję się echolokacją. Tę zdolność mamy wszyscy. Ja tylko więcej z niej korzystam niż inni. Wystarczy wyobrazić sobie taką sytuację: idziesz ulicą i gdzieś za sobą słyszysz dzwonek. Jeśli możesz widzieć, nie zastanawiasz się i odwracasz głowę, żeby zobaczyć źródło dźwięku. To samoistny, pierwotny odruch. Ale można, zamiast odwracać głowę, pomyśleć, przeanalizować dźwięk i to wystarczy, aby wiedzieć, skąd pochodzi – opowiada adwokat z Lublina.





Dzięki echolokacji można, nie widząc, sprawnie poruszać się i rozpoznawać znajome miejsca. Daniel Kish, twórca organizacji Word Access for the Blind, potrafi stworzyć trójwymiarowy obraz otoczenia w promieniu kilkudziesięciu metrów. Z odległości pięciu metrów rozpoznaje samochody. Z 50 metrów - budynki. Białej laski używa tylko dlatego, że za pomocą echolokacji trudno „wykryć” nierówności podłoża.



Nie da się przecież usłyszeć „dziury” w podłożu – tłumaczy Andrzej.

Mecenas Gózdź osiągnął wszystko, co ludzie lokują zwykle pod pojęciem szczęścia. Ma śliczną żonę – Annę – projektantkę wnętrz. Zadbana, aby ich wspólny dom był miejscem, które łatwo „oswoić” nie widząc. Wspólnie wychowali dwójkę dorosłych już dzieci. Ma pracę, która cieszy. Ma też kilka innych pasji niż ta, związana z jego profesją. Jedną z nich są szachy. Zdobył tytuł mistrza Polski w grze pamięciowej.

Do rozegrania partii szachów Andrzej nie potrzebuje ani figur, ani szachownicy. Wystarczy przeciwnik. Są specjalne szachy dla niewidomych. Kolory pól i figur można w nich rozpoznać dzięki wyróżniającym je detalom wyczuwalnym pod palcami. On jednak z takich nie korzysta.



Nawet nie dotykam szachownicy. Wystarczy, że każdy z grających mówi jaki wykonuje ruch. Uruchamiam wówczas wyobraźnię i pamięć. Szachy to doskonały trening logicznego myślenia i wyobraźni przestrzennej – tłumaczy.

Od pracy za biurkiem najlepiej odpocząć aktywnie. Andrzej znalazł więc do pary inną pasję: rower. W Lublinie działa Kolarski Klub Tandemowy „Hetman”, zrzeszający osoby niewidome i niedowidzące oraz widzących rowerzystów - „przewodników”. Miłośnicy jazdy na dwóch kołach wprawianych w pęd w duecie mówią, że emocje takiej jazdy są nie do podrobienia. Można rozwinąć prędkość, która naraża na mandat. Andrzej dowodzi hetmańskim rowerzystom jako prezes klubu. Zdobył kiedyś mistrzostwo Polski w indywidualnej jeździe na czas. Dziś jeździ rekreacyjnie.

Zapytany o szczęście, odpowiada cytując rosyjskiego poetę M. Lermontowa:

“ *Okruchy szczęścia są w nas samych. Jeśli ich tam nie ma, nie ma ich nigdzie. Wystarczy je tylko odnaleźć. Niepełnosprawność nie ogranicza możliwości poszukiwania ich w sobie.*

Każdy może cieszyć się życiem, jeśli zainwestuje swój wysiłek w to, aby osiągnąć stan, w którym inni przestaną go postrzegać przez pryzmat niepełnosprawności. To kwestia osobistej determinacji. Można spełniać marzenia bez względu na ograniczenia ciała – tłumaczy.

We śnie wciąż widzi. Pamięta kolory i świat, który oglądał oczyma dziecka. Może medycyna znajdzie kiedyś sposób naprawy tego, co zniszczyła jaskra? Jeśli nie będzie mógł z takiego leczenia skorzystać – będzie jak jest – czyli dobrze. A jeśli pojawi się taka szansa?

“ *Czy warto będzie po nią sięgnąć? Może... Nie wiem. Zna pani historię angielskiego stolarza, który stracił wzrok mając kilkanaście lat, a odzyskał około pięćdziesiątki? Oglądając świat po latach wpadł w depresję, bo ten świat okazał się być inny niż wyobrażenia o nim.* ●



17.

**KASIA
ROGOWIEC**

Olimpia
najcenniejsze
złotko Kasi





Olimpia najcenniejsze złotko Kasi

Rabka. Rok 1980. Tragedia podczas prac rolniczych. Trzyletnia Kasia traci obie rączki. Rodzice w rozpacz. A jednak to dzielni górale i mądrzy ludzie. Wiedzą, że rozpacz prowadzi donikąd. Przecież Kasia – ich mały skarb ...żyje. To najważniejsze! Trzeba zrobić wszystko, aby potrafiła wziąć się z życiem za bary. Nauczyli ją. Stała na podium. Każdy z nas, często niejeden raz, musi mierzyć się z rozpaczą. Każdy ma moc, która pozwala zwyciężyć, ale nie wszyscy wierzą, że starczy im sił. Nie wszyscy chcą się mierzyć i poddają się. Szkoda...



Brak rąk to tylko coś, co mnie wyróżnia z tłumu. Każdy czymś się różni od innych. Ważne, aby na początek sam w sobie dostrzegł wartościowego człowieka. To pierwszy krok do tego, aby inni dostrzegli to samo – mówi Kasia Rogowiec (rocznik 1977), szczęśliwa mama, żona, mistrzyni olimpijska, absolwentka Akademii Ekonomicz-



nej w Krakowie, pani pilot wycieczek, w latach 2001 do 2010 roku pracownica ds. kadr i płac Regionalnego Ośrodka Polityki Społecznej w Krakowie, potem Uniwersytetu Ekonomicznego.

Jej córeczka, mała Olimpia, przysłała na świat latem 2013 roku.

„Chcieliśmy mieć dziecko, więc nie byłam zaskoczona faktem bycia w ciąży. Moja głowa była pełna obaw, że nie podołam, że nie mam instynktu macierzyńskiego. Jeszcze pierwsze dwa – trzy tygodnie po porodzie powątpiewałam, czy pojawi się uczucie swego rodzaju bycia „kwoką”. Pojawiło się i mnie rozpromienia, choć bez seplenienia nad Olimpią i „tiutiania” – uśmiecha się mama Olimpii.

Z właściwym sobie poczuciem humoru opowiada również o tym, że w jej wykonaniu przewijanie maleństwa trwa 20 minut, a w wykonaniu taty albo opiekunki – przyjaciółki rodziny – Natalii, czterokrotnie krócej. I cóż z tego. Spróbujcie ścigać się z nią na nartach, albo na rolkach. Zdecydowana większość z Was nie ma szans. Właściwie niemal każdy z Was nie ma szans. Każdy jest w czymś najlepszy. Jeden w przewijaniu, inny w bieganiu.

Kasia to piękna, silna, radosna, spełniona kobieta. Samodzielna. Dzięki mądrości swoich bliskich.

„Samodzielność zawdzięcam w dużej mierze moim rodzicom, rodzinie – cioci Marysi, siostrze taty, która zawsze była blisko. To ich mądrość życiowa w powiązaniu z trudami prowadzenia małego gospodarstwa i moim uporem, powodowały, że kształtowałam się do bycia samowystarczalną i do proszenia o pomoc, kiedy było to konieczne. Traktowano mnie bez taryfy ulgowej, jak każdego innego członka rodziny. Uczestniczyłam w prawie wszystkich pracach, od mycia podłóg, po zbieranie ziemniaków podczas wykopków. Nie mogłam liczyć na to, że ktoś będzie obchodził się ze mną w szczególny sposób dlatego, że nie mam dłoni. Sama też tak siebie nie widziałam, a może tak było właśnie dlatego, że w domu nie dano mi tego odczuć. Z temperamentem się rodzimy, charakter się kształtuje, a człowieka się wychowuje – i moi rodzice zrobili to dobrze. Wypracowali we mnie siłę charakteru, wykształcili mnie, rehabilitowali, czuwali nad moim rozwojem, jednocześnie nie będąc nadopiekuńczymi – opowiada Katarzyna.

W samodzielności pomagają jej „patenty” – bransoletka pomocna przy pisaniu, ściereczka ułatwiająca smarowanie masłem kromki chleba, haczyk do zapinania zamków.



“ *Zrobić coś inaczej, czasem wolniej, ale zrobić samemu, to bardzo ważne – mówi.*

Przyznaje, że pewność siebie, akceptację swojej inności, trzeba było trenować jak bieganie na nartach...

“ *Narzucona na ramiona koszula maskująca brak rąk, towarzyszyła mi do trzeciego roku studiów. Pomogli ludzie, którzy uświadamiali mi swymi zachowaniami i słowami, że nie myślę o mnie, jako o odmieńcu. I okoliczności. Przecież chcąc być kierowcą, kupić bilet w autobusie, zapłacić rachunek, musiałam zdjąć tę koszulę – wspomina.*

Sport stał się na dobre pasją Kasi na piątym roku studiów i tak już zostało. W 2003 roku z Mistrzostw Świata w Baierbronn – wróciła z trzema srebrnymi medalami, dwa lata później z Fort Kent – z dwoma brązowymi, z jednym srebrnym i jednym złotym. W 2006 roku, z igrzysk w Turynie, przywoziła do Polski dwa złote, w 2010 z Vancouver – brąz. 2011 rok przyniósł sukcesy na Mistrzostwach Świata w Chanty-Man-syjsku w Rosji: brąz, czterokrotne srebro i złoto... Na przełomie 2011/2012 Kasia wybiegała na nartach Krysztalową Kulę.

Jak mówi – stało się to wszystko także dzięki ludziom, z którymi los skrzyżował jej drogę.

„Lubię żyć w „stadzie” i najprawdopodobniej w znacznej mierze to właśnie ono, „nakręca” mnie do działania – wyznaje.

Z powodu Olimpii Kasia zawiesiła intensywne treningi i – mimo wywalczenia kwalifikacji – nie pojechała w 2014 roku walczyć o medale w Soczi.

„Odkąd ją mam, jestem cierpliwsza, mam dla samej siebie większą dozę przyzwolenia na bycie mniej aktywną w sferze zawodowej, w sporcie. Olimpia po prostu powywracała moje priorytety. Jest najwyżej na ich liście. Inne sprawy przy niej schodzą na plan dalszy, bo po prostu chcę poświęcić czas przede wszystkim jej. Rezygnuję więc z wyjazdów, ze spotkań towarzyskich, z koncertów – opowiada.

Dodaje, że rozdział życia zdominowany przez intensywną karierę sportową w dziedzinie, w której odnosiła największe sukcesy – czyli w narciarstwie biegowym – pewnie już trzeba zamknąć. Poszukać czegoś „spokojniejszego”, łatwiejszego do pogodzenia z macierzyństwem.

Może spróbuję teraz strzelectwa sportowego? Jeśli Olimpia pozwoli – zastanawia się Kasia.



Już wiadomo, że Olimpia to charakterna dziewczucha – ma to po mamie. Może będzie kiedyś jak ona – biegać, jeździć na nartach, a może będzie tańczyć...

Na pewno będziemy jej to obydwoje z mężem „podpowiadać”, ale pozwolimy jej żyć jej życiem. Moi wspaniali rodzice dawali mi zawsze swobodę próbowania i pokazując różne drogi, pozwalali samodzielnie wybierać. Nie zamierzam postąpić inaczej wobec własnego dziecka – mówi Kasia Rogowiec. ●



Publikacja dofinansowana ze środków
Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych
Książka bezpłatna, nieprzeznaczona do sprzedaży



Chcesz poczuć, że masz skrzydła i wiatr pod skrzydłami, który niesie tam, gdzie spełniają się marzenia? Jeśli tak – ta książka jest dla Ciebie. Myślisz, że życie prowadzi Cię hiobową ścieżką? Sięgnij po nią – poznasz historie, które działają przeciwbólowo. Jeśli udało Ci się złapać szczęście za uszy – czytaj. Gdy skończysz – lepiej docenisz to, co masz.

Jarek, Renata, Monika, Iwona, Magda i Artur – Stonej byli kiedyś silni, zdrowi, sprawni. Każdy z nich przeżył wypadek, który mógł zakończyć historię ich życia, a zamiast tego stał się nowym początkiem. Dziś o takich, jak oni mówi się „niepełnosprawni”, choć gdy ich poznasz, pewnie uśmiechniesz się do myśli, że to określenie do nich nie pasuje, bo mają w sobie więcej mocy niż przed wypadkiem, więcej niż niejeden zdrowy człowiek. Artur – Rogalik i śliczna Angelika walczą z nieuleczalną, postępującą chorobą, a mimo to szczęście patrzy im z oczu. Niepełnosprawni? Teoretycznie, bo kalectwo tkwi w myślach, nie w ograniczeniach ciała. Jan i jego synowie, których także poznasz z kart tej książki, dobrze wiedzą, że ksiądz Jan Twardowski miał rację, pisząc: „*spadają z obłoków małe, wielkie nieszczęścia potrzebne do szczęścia*”. A Ty wiesz?



KRS 0000020382

dziękujemy za każde wsparcie:
11 8805 0009 0018 7596 2017 0003

www.sc.org.pl

Znajdź nas na Facebooku:

facebook.com/Stowarzyszenie.Sursum.Corda

Publikacja dofinansowana ze środków
Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych
Książka bezpłatna, nieprzeznaczona do sprzedaży

